

S. M. Krawczyński

Klemens Junosza.

Monologi.

Z ilustracjami Fr. Kostrzewskiego.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
40-350 Warszawa, ul. Nowy Świat 70
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘDZNI

Teodora Paprockiego i S-ki.

41. Nowy-Świat 41.

1894.

<http://rcin.org.pl>

Дозволено Цензурою
Варшава, 28 Іюня 1893 года.

5616



WARSZAWA. DRUKIEM EMILA SKIWSKIEGO.

ROMANOWI JASIŃSKIEMU

D-rowsi Med.

pracę niniejszą

ofiaruje

Autor.

SAME OSZUKAŃSTWA.



Sanie oszukaństwa! Ja panu co powiem, że na świecie jest samo oszukaństwo — ja... Immerszlecht! W. Immerszlecht! Pan mnie może wierzyć, mnie wszyscy znają! Nie wierzysz pan? Proszę iść na Nalewki i spytać się, co powiadają o W. Immerszlecht? O panu W. Immerszlecht; powiadam wyraźnie, bo jest także B. Immerszlecht i M. S. Immerszlecht, trochę moi krewni, ale wielkie łajdaki. Niech ich dyabli wezmą! Dziś porządny człowiek żyć nie może, — zamiast kapitału masz pan obiecankę, zamiast procentu także obiecankę, to ładna waluta jest! Żeby moje wrogi zawsze taką widzieli. Robisz pan z dłużnikiem układ — obiecujecie! chcesz mu pan sprzedać meble — obiecujecie! Oni wszystko obiecują, cały świat obiecuje!

Z tego interesu najlepsza gospodyni nie potrafi rosół ugotować.

Ja panu co powiem, ale przepraszam, mnie trzeba, za pozwoleniem, usiąść (*siada*). Ze wszystkim mam zerwane nogi. Mówisz pan, że to, broń Boże, od chodzenia, gdzie tam, to ze zmartwienia jest. Ja mam taką delikatną naturę, że mnie każdy smutek nie tylko do serca idzie, dalibóg nie tylko! On mi się wpycha w kolano, czasem w dwa kolana i tak mnie kole coraz niżej, aż pójdzie całkiem do ziemi! I co z tego? Ledwie jeden wylazł do ziemi, drugi znów wlaźł w kolano — i tak codziennie. Pan dobrodziej myślisz, że W. Immerszlecht miał słodkie życie? W. Immerszlecht miał bardzo gorzkie życie. A wiesz pan, przez co on miał gorzkie życie? — Przez oszukaństwo. Myślisz pan, że między nasze żydki znajdzie się dużo uczciwość? Bardzo mało, całkiem tak jak nic, albo i wcale nie! Oni nabożni są, oni modlą się, oni jeżdżą do rabinów, ale gdy przyjdzie do interesu, to zaraz z nich wylazi cały dyabeł! Ho! ho! warszawskie żydki to jest fajny gatunek osoby! rarytne osoby, — ja miałem dwie żony warszawskie! Sam jestem wcale nietutejszy, pochodzę z dalekich stron, z nad samej pruskiej granicy, będzie stąd wiele mil? Może trzydzieści mil! Myślisz pan, że u nas żydy takie, jak tu żydy są? Że oni niosą wielkich zabłoconych

butów, długie kapotów i husyckich czapek na głowie? Myślisz pan, że są ordynarne grubiany, jak tu? Oni nie niosą grube butów, ani husyckich czapek, oni nie są grubiany,—oni ubierają się jak ja, jak wszystkie insze panowie. Mają, z przeproszeniem, spodnie do samej ziemi, krótki palton, a na głowie kapelusz, albo ładny zwyczajny kapelusz, albo cylinder mają. Pytasz pan dobrodziej, dlaczego ja tu się sprowadziłem do Warszawy, między taki gruby naród? Albo ja wiem. Miałem trochę pieniędzy,—myślałem, że się tu dorobię. No, dorobiłem się ładnie! A wiesz pan, co ja się dorobiłem? Ja się dorobiłem dwie żony! Jedna żona to była całkiem moja zguba, druga też nie jest reperacya. Nie mam szczęścia do rzetelnych interesów, a co mi się trafi, to samo oszukaństwo! Pan pytasz się, jakie oszukaństwo może być w żonie? Prawda; —kobieta, to jest kobieta; jedna ma taki feler, druga taki feler; trafi się inna, co ma i dwa felery, ale zawsze to jest kobieta, i w tem jednym niema oszukaństwa! Każda ma na sobie kawałek spódnicy i czepek, każda potrafi zrobić dobrego krzyku i gałgańskie jedzenie, każda potrzebuje mieć swoje perły i swoje fanaberye. Na to niema oszukaństwa... ale wszystko inne! Cha! cha! cha! czy pan wiesz, jak w nich to wszystko inne wygląda? Ja panu powiem...

Przepraszam pana, ja potrzebuję zapalić moje cygaro, albo daj mi pan swoje cygaro... Ja mam czasem takie drapanie w gardle, że zaraz potrzebuję palić cygaro. A wiesz pan, kiedy mnie najgorzej drapie? Jak sobie żonę wspomnę. Ja miałem pełną głowę tej żony. Pytasz się pan, czy ona była brzydka? Nie, ona nawet była bardzo ładna, trochę już niemłoda, ale wielce wspaniała kobieta. Ona nie wyglądała jak żydówka, wyglądała jak hrabina! Ładna była, tłusta była — i w tem główny feler. Powiadasz pan, że to niewielki feler?! To jest właśnie najgorszy feler, — zaraz się pan przekonaj. Jak ja przyjechałem do Warszawy, to byłem wdowiec. Dzieci miałem dorosłe, wyposażone, jak wdowiec; ale bez żony to u nas nie wypada człowiekowi być, nie pasuje. Ja potrzebowałem postarać się o kawałek żony... U nas to nie jest bardzo trudno. Są swaty, co się tylko z takim interesem trudnią; więc poszedłem do takiego swata (żeby on nogę złamał!) i powiadam: mój kochaneczku, szukaj ty dla mnie kawałek żony! A on, ten swat (niech jego wielka febra trzęsie!), powiada, że on mnie zaraz da taką żonę, co w całej Warszawie lepszej się nie zdybie. (Żeby on tak świat oglądał!). Ja jego się pytam, gdzie taka rarytność jest? A on (niech jego głowa zabol!) powiada, że za godzinę napiszemy zarczynny (żeby on

czarny rok miał, ten galgan!). Zaczął mi opowiadać: po pierwsze, że ona wdowa jest; po drugie, że bardzo porządna kobieta; po trzecie, że pochodzi z wielkiej familii, z Luftmanów, z tych wielkich Luftmanów, co mają cztery domy na Muranowie. Słyszałeś pan zapewne,— cztery domy na Muranowie i kantor, skład szkła, porcynele i galanteryi pod firmą I. S. Luftman.—Znasz pan pewno, pierwsza rystokracya na całe Warszawie! Po czwarte, że ma sumę hipoteczną 5,642 ruble na domu Kaltwassera na Gęsiej, gdzie szynk z zielonemi drzwiami. Powiedz pan, czybyś się nie zlakomil na taki interes? Ja nie miałem takiej mocy, ja zlakomilem się. Poszedłem do Krasińskiego ogrodu ze swatem, zobaczyłem tę kobietę (ładna była kobieta); w dwie godziny później napisaliśmy zaręczyny, a na drugi dzień to było już całkiem po weselu. Mój swat (żeby on dostał ślepotę na oczy!) kazał zapłacić sobie za ten interes dwadzieścia pięć rubli; ja jemu dałem z wielkim targiem jedenaście i pół (żeby on to dwadzieścia trzy razy wychorował!)... Jak było, tak było, dość, że ożeniłem się; myślałem, że będę całkiem spokojny. Cały tydzień było mnie dobrze, miałem w stancyi ciepło, miałem co jeść, miałem każdą wygodę, ale dalej! Słuchajno pan, co było dalej! Pokazało się, że wszystko było oszukaństwo! Po pierwszego, powiedzieli,

że ona jest wdowa, i naprawdę ona była wdowa — ale jaka wdowa? Myślisz pan, że taka, jak bywają wdowy, po jednym mężu? Nie, ona była po czterech! Ja przyszedłem piąty, po dwóch nieboszczykach i dwóch rozwodnikach! Mniejsza o to, to bagatelny interes. Po drugiego, powiedzieli, co bardzo porządna kobieta — i to było też oszukaństwo, bo ona wcale nie lubiła porządku, ale mniejsza i o to. Myślisz pan, że o takie głupstwo robiłbym jaką awanturę? Wcalebym nie robił żadnej awantury, słowo honoru panu dając. Po trzeciego, powiedziano, co ona jest z wielkiej familii, z Luftmanów, z tych, co mają cztery domy na Muranowie i kantor I. S. Luftman — i to było oszukaństwo! Ona pochodziła, co prawda, z Luftmanów, ale z tych Luftmanów, co biedni są, same łapserdaki i kapcany... ale i o to mniejsza! Myślisz pan, że o taki interes miałem sobie powiesić? (niech mój swat się powiesi!). Mnie było bardzo przykro, ale myślałem sobie: cóż robić? Pan Bog jeden jest, On stworzył i tych Luftmanów, co mają cztery domy na Muranowie i kantor I. S. Luftman, i On stworzył tych Luftmanów, którzy nic nie mają i są kapcany i łapserdaki. Było mnie to bardzo przykro, że moja żona pochodzi wcale nie z wielkiej familii, ale zniosłem już i to trzecie oszukaństwo.—Cierpiałem... Po czwartego, było

powiedziane, swat powiedział (żeby on dostał ogień na wątrobę!), że moja żona ma 5,642 ruble na domu Kaltwassera, na Gęsiej, wiesz pan, tam, gdzie szynk z zielonemi drzwiami. Tymczasem i to było oszukaństwo; prawda, ona miała tę sumę, ale suma wisiała na siedemnastym numerze. Towarzystwo zrobiło licytację—moja suma spadła (żeby tak mój swat z dachu spadł kiedy!) i cały interes przepadł! Mnie było bardzo przykro, ja się okropnie gniewałem, ja się martwiłem, ja chorowałem, mnie wlaźło wtedy w głowę, w kolano, w serce, chodziłem do lecznicy, mnie kosztowała sama medycyna pół rubla, a bańki! No, ale przecierpiałem. Myślę sobie: mam żonę, to przynajmniej wiem, że mam, — taki smak już nie spadnie z hypoteki. Ale, co pan powiesz?! i w tem było oszukaństwo! Myślisz pan, że ja żonę miałem? Nie, panie; ja hrabinę miałem, ona była wspianiała dama, tłusta dama, a to najpaskudniejszy feler jest! Nie wierzysz pan? Cha! cha! proszę-no posłuchać, co ona potrzebowała na swoją osobę przez jeden dzień! Posłuchaj pan! pan nie będziesz mógł dać wiary, ale ja panu powiadam, na moje sumienie, ja, Immerszlecht! Nie tamten drugi Immerszlecht, gałgan, ale ja, W. Immerszlecht; słuchaj pan. Zaraz jak ona tylko z łóżka wstała, to potrzebowała pić herbatę. Ile pan myślisz herbaty? jedno szklankę?

Monolog.



trzy szklanki! Myślisz pan, że bez cukru? z cukrem! Potem ona potrzebowała się wystroić i dopiero, takie szajne dame, potrzebowała iść do ogrodu. Myślisz pan, po co ona tam chodziła? Chodziła tam pić kawę! Myślisz pan, jedną szklankę? Nieprawda, dwie szklanki! Myślisz pan, bez ciastka? z dwoma ciastkami! Potem ona przychodziła do domu na obiad. Jak się panu zdaje, co ona potrzebowała na obiad? Może dzwonko śledź, cztery kartofle, trochę krupnik,—jak zwyczajnie potrzebuje być dobry obiad? Nie, ona potrzebowała cały talerz rosół, funt mięsa, albo ćwiartkę gęsiny, albo pół kury, do tego kartofel z gęsim szmalcem, do tego bułkę, albo chleb, a do chleba znowu trochę szmalce,—ja sam już nie wiem, co ona potrzebowała! Potem to ona lubiła zaraz sobie trochę położyć. Ona potrzebowała odpocząć po takim jedzeniu! A co pan myślisz, co ona potem robiła? Ona potrzebowała sobie wystroić i znowuż, a szajne dame, iść do ogrodu. A po co ona tam szła? na spacer? Nie, na kwaśne mleko! Myślisz pan, że zjadła pół porcyi? Przepraszam, ona potrzebowała całą porcyę! No, później, jak przyszła do domu, to zaraz kazała nastawić samowar i piła herbatę. Myślisz pan, że jedną szklankę? Trzy szklanki! Myślisz pan, że bez cukru? Z cukrem. Taki miała feler. Ja widziałam, że to nie żona jest, tylko hrabina.

tak chciałem jej dać rozwód. Nie mogłem już wytrzymać z takim jedzeniem. Dziwowałem się, że ona jeszcze mnie samego nie zjadła. Chciałem dać rozwód, tymczasem przychodzili moje przyjaciele, perswadowali, prosili i przedstawiali, że oni chcą między nami zrobić zgodę. Ja powiadam: dobrze, zróbcie zgodę, niech ja wiem, ile ja mam dać na tydzień na jedzenie, — ja tyle dam; a jak ona zechce więcej jeść, niech je za swoje pieniądze. Ja nie będę bronił, niech pije po trzy szklanki kawy, niech się obucha, tylko, żebym ja nie potrzebował do tego interesu dokładać. Przyjaciele zrobili między nami zgodę. Było dość hałasu, klektania, tak i tak, nareszcie stała się zgoda. Ja miałem zapłacić komorne, drzewo, węgiel, naftę, herbatę, pensję służącej, nosiwodę i miałem dać jedenaście rubli tygodniowo na życie. No, zrobiła się zgoda, byłem spokojny. Dałem swoje jedenaście rubli za cały tydzień z góry — i poszedłem za swemi interesami. Nawet mi w głowie nie było, żeby i tu także się zrobiło oszukaństwo! Samo oszukaństwo! paskudne oszukaństwo, na moje sumienie! Pytasz się pan, w czym oszukaństwo? Zaraz panu powiem. Ja poszedłem na miasto, nachodziłem się po różnych dziurach, po schodach; w jednym miejscu nie zastałem osoby, w dziesięciu drugich miejscach nie zastałem pieniędzy, jak wiadomo w naszym

interesie bankierskim. Przyszedłem do domu koło godziny piątej, byłem bardzo zmordowany, spracowałem się jak koń, a trzeba panu wiedzieć, że moja żona była bardzo grzeczna, bardzo delikatna kobieta, zupełnie jak jaka hrabina (ha! jadła dużo i bardzo grzeczna była); jak tylko ja przyszedłem do domu, ona przysłała do mnie służącą. Ja sobie siadłem przy stoliku, a służąca pyta się: proszę pana, pani kazała zapytać, co sobie pan życzy teraz jeść? Ja na to powiadam: moja kochaneczko, podziękuj pani za delikatność; powiedz, że ja mam chęć do trochę wódeczki, trochę chleb, kawałek prosty ser i szklaneczkę piwo. Co człowiek więcej potrzebuje? Ona poszła, ale zaraz przychodzi. Ja się pytam: co ty, moja kochaneczko, chcesz? A ona powiada: że pani kazała powiedzieć, że jeżeli pan chce jeść trochę wódeczki, trochę chleb, trochę ser i trochę piwo, to niech pan będzie łaskaw dać: osiem groszy na wódeczkę, sześć na chleb, trzy na ser i dwanaście na piwo! Zrywałem się z krzesła, krzyczałem „gwałt“ na całą ulicę! Słuchaj pan, ja dopiero dałem jedenaście rubli na życie, na cały tydzień z góry, ja przyszedłem do domu, żeby sobie trochę odpocząć i trochę siły dostać, a ona powiada, żebym ja dał osiem groszy na wódkę, sześć na chleb, trzy na ser, dwanaście na piwo. (I to oszukaństwo, bo

u Lejzora najlepsze piwo jest po dziewięć). Ja to nie mogłem wytrzymać, ja zrobiłem mojej żonie skandalje. Myślisz pan, małe skandalje? ja jej powiedziałem: niech ciebie dyabli wezmą! Ja panu mówiłem, że ona była wielka dama, — ona nie robiła żadne awanture, tylko spojrziała na mnie bardzo po pańsku i powiedziała jedno słowo: „idź sobie do cholerye.“ Cała hrabina, na moje sumienie! No, ale że ja nie jestem, Bogu dzięki, hrabia, tylko prosty żyd, to nie mogłem na to przystać, żebym miał dawać jedenaście rubli tygodniowo, a prócz tego kupować sobie jeszcze: wódkę, chleb, ser i piwo — dalem jej rozwód. Powiadasz pan, że już byłem spokojny? Nieprawda. Naprzód, że mnie — a już, dzięki Bogu, lata mam — nie pasowało żyć lada po jakiemu, bez żony, a po drugie... Pytasz się pan, co po drugie? Po drugie, to, proszę pana, źle jest, — po jednym deszczu przychodzi drugi deszcz, po jednej żonie — druga żona, mało kiedy pogoda jest, mało kiedy spokój jest. Musiałem znowu wołać swata (żeby jemu kolka w bok wlaźła, gałganowi), musiałem jemu kazać, żeby się starał o żonę. Kazałem jemu, żeby znalazł porządną kobietę, wdowę, żeby była piękna, ale żeby też nie była młoda, bo na co mnie młoda żona? na co małe dzieci? Ja już, Bogu dzięki, wnuczków mam (niech oni zdrowe żyją). Ja kazałem jemu, żeby mi szukał

taką żonę, co nie ma bardzo wielki apetyt, i taką żonę, co nie ma sumy hipotecznej, tylko gotówkę. Ja jemu powiedziałem, że ja się nie lubię targować, że będę wołał wzięść mniej, aby tylko było pewne, abym nie był stratny. On powiedział, że znajdzie (żeby on śmierć sobie znalazł!), że będzie szukał. On szukał! Co pan chcesz, taki galgan, to zaraz szuka, on z tego żyje, paskudnik. Na drugi dzień to już mi pokazał całe trzy! Mogłem sobie wybierać. Myślisz pan, że nie wybrałem? Wybrałem. Była kobieta bardzo ładna, wdowa, miała już po czterdzieści i dziewięć lat, i z dobrej familii, i bez sumy hipotecznej, z garderobą, z gotówką, z perłami, i miała też dwa brylantowe kolczyków. Wszystko miała! Pytasz pan, dlaczego się nie ożeniłem? Dlatego, że ja jestem człowiek uczciwy, że nie lubię zrobić oszukaństwo! Wiadomo, jaki jest uczciwy Immerszlecht; pytaj pan na całe Nalewki. (Tylko pytaj pan wyraźnie o W. Immerszlecht, bo są i drugie Immerszlechty, ale wielkie łapserdaki i galgany!). Ja jestem człowiek uczciwy, ja się nie mogłem ożenić z tą kobietą. A wiesz pan dobrodziej, dlaczego? Dlatego, że między nami była dyferencya. Ona była bardzo nabożna żydówka, ona żądała, żebym ja sobie ubierał po żydowsku, żebym ja nosił wielkich butów, szerokie majtków, „tales-koten mit kofuł szmejne cyeys,“

wiesz pan, takie długie sznurki do same kolano! długą kapotę i husycką czapkę na głowę! Ja nie mogłem na to przystać. Powiedz pan sam, czy ja mogłem? powiedz pan, co by moi panowie na to powiedzieli, i jakbym ja wyglądał w taki paskudny garnitur, ja, W. Immerszlecht, co mu znają na całe Nalewki, nawet na całe Warszawy! Ja jestem z innego świata, z nad samej pruskiej granicy, w mojem rodzonym miasteczku ludzie chodzą jak lalki, najbiedniejszy szewc ubiera sobie jak hrabia, a ona chce, żebym ja nosił prostą kapotę! Sam pan powiedz, czy to pasuje — Immerszlecht i kapota! Immerszlecht i chałat, Immerszlecht i paskudne wielkie butów, co człowiek potrzebuje mieć bydłą nogę, żeby ich dźwigać na sobie! Ja jestem człowiek delikatny, ja to nie potrzebuję nosić. Ja panu co powiem: ja miałem i na to sposób. Miałem dobry sposób. Mój spółnik, co ze mną interesów robi, powiedział do mnie tak: słuchaj-no Immerszlecht, ty nie bądź głupi (w spółce to zwyczajnie musi być trochę konfidencyi), ty Immerszlecht nie bądź głupi! Ty sobie z nią ożeń. Ja tobie dam sposób: ty sobie kup na wesele kapotę, butów i czapkę, a po weselu ty włóż swoje dawne garderobę, a tę kapotę, butów i czapkę ja od ciebie kupię, bo ja chodzę w staromodne garderobę, — ty mnie odstąpisz 25%. Ja nie chciałem na to przystawać. Po

pierwszego, że ja nie lubię robić komu oszukaństwo, bo u mnie uczciwość najpierwsza jest, a po drugiego, za co ja mam stracić dwadzieścia pięć procent?! Powiedz pan sam! Ta kobieta pojechała do rabina, żeby on sądził, w jakie odzienie mnie pasuje chodzić, ale ja już nie czekałem wyroku i powiedziałem, że się wyrzekam wszystkiego. Dlaczego ja to zrobiłem? Dla bardzo prostego interesu. Jakby rabin kazał nosić kapotę, to rabina wypada słuchać, a znowuż mnie wypada chodzić w porządne światowe garderobe. Więc ja wolałem nie robić próbę, a nie chodzić jak prosty chałaciarz, i nie stracić 25⁰/₀, i zostać taki sam Immer-szlecht, jak byłem pierwiej. Ja panu co powiem, ja mam obrzydliwość do każde oszukaństwo, ja nie lubię żadne oszukaństwo, to paskudna rzecz jest! Żebyś pan dobrodziej handlował, tak jak ja, z pieniędzmi, to myślałbyś pan całkiem tak samo. Niema gorszy interes na świecie, jak każde oszukaństwo jest. Na moje sumienie. Och! ja zapalę moje cygaro, albo lepiej daj mnie pan swoje cygaro, bo ja mam takie paskudne szczypienie w gardle. Zawsze mi się to trafia, zawsze mi się to przytrafuje, jak wspominał o moich żonach. Co robić, — jeden ma szczęście do kobiet, drugi nie ma szczęścia do kobiet; ja nie mogę sobie pochwalić, żebym miał wielkie szczęście do kobiet. Ten swat

(niech on dostanie kolkę na wątrobę!), ten swat mnie ożenił, ale i to było także oszukaństwo! Pytasz pan, czy dostałem znowu złą żonę? Ja to nie powiem. Ona (niech zdrowa żyje) nie jest ani zła, ani bardzo dobra; ani bardzo ładna, ani bardzo brzydka; ani młoda nie jest, ani stara nie jest. Nie jada dużo, ale mało też nie jada; nie miała sumy hipotecznej, ale też nie miała dużo gotówki. Całe paręset rubli, nawet cały tysiąc nie było. Nie mogę powiedzieć, żeby była wielka złośnica, ale kawałek złota też ona nie jest. Zwyczajna żona, kawałek żydówki, jak się najczęściej przytrafuje pomiędzy nami. Pan dobrodziej powiadasz, że nie możesz sobie miarkować, w czym jest oszukaństwo? Powiadasz pan, że żona jest żona. I to prawda, że żona nie jest ciotka, tylko żona. Ja wiem, ale uważaj pan na delikatny rozum. Ja już nie jestem młodzik, pan to zapewne rozumie. Jak kto ma osiemnaście lat i żeni się, to potrzebuje prosić Pana Boga o małe dzieci; a jak kto ma pięćdziesiąt kilka lat i żeni się, to potrzebuje trochę spokój i trochę wygody. U nas, u żydów, to zawsze proszą Pana Boga o dzieci, ale ja jestem rodem z nad pruskiej granicy, u nas ludzie nie są takie zabo-bonniki, jak tu w Warszawie. Do każdego interesu trzeba termin, a wiadomo, że po terminie nie może być apelacja. Ja mówiłem temu

swatowi (niech jemu głowa spuchnie!), ja mówilem, żeby on o tem pamiętał. On pamiętał! on mi powiedział, żebym był całkiem spokojny, on ręczył! Co pan powiesz, on mi na piśmie chciał poręczenie dawać! (żeby jemu kości pokręciło!). Pan sobie dziwuje, że ja wierzyłem. Dlaczego ja nie miałem wierzyć? on jest swat, od czego on jest swat? to do jego fachu należy! Tymczasem cały ten fach, to jedno oszukaństwo! Bądź pan dobrodziej zdrów. Ja już nie mam czasu, ja potrzebuję sobie iść między moje dłużniki, potrzebuję zbierać obiecanki. To także jest fach! Żeby moje wrogi takie żniwo mieli! Pan dobrodziej pytasz się o koniec? Na co panu to wiedzieć? Zresztą, niema w tem sekret. Chcesz pan wiedzieć, to ja panu powiem. Ja teraz jestem młody ojciec. Pan się śmieje. Na co pan się śmieje? To niema śmiechu, to prawda jest, prawda, co na świecie same oszukaństwo. Co robić? trzeba przyjąć, co Pan Bóg daje. A czy pan wie, co Pan Bóg dał? Pan myśli, że może syn? wcale nie syn. Pan myśli, że może dziewczynka? wcale nie dziewczynka. Teraz pan sam nie wie, co myśleć? Ja panu powiem — mam odrazu dwa syny! Całe oszukaństwo, na moje sumienie!

BEZ PRZESADY.



Wierzajcie mi państwo, bez przesady, nie masz jak polowanie. Dobra strzelba aż mi pachnie — proch mógłbym łyżkami jeść — a pięknego wyzła jestem gotów pocałować w oko. Nie rozumiem innego życia, jak na błocie, albo w kniei. Nie chcę znać żadnych Paryżów, żadnych Włoch, żadnych Warszaw — wszystkie miasta kazałbym sadłem wysmarować, żeby je psy zjadły! Bo czegoż człowiekowi potrzeba? Strzelba na ramię—w torbie flaszcyczka star-ki, kawałek suchej kielbasy — piesek do nogi i do roboty. Żadne frykasy tak nie smakują! bo proszę państwa... Za pozwoleniem, jeszcze się nie znamy... Jestem Pistoński Jan; z tych, co to państwo zapewne znacie... jedna była za Stasiem z Czarnobłocia, a druga, Panie odpuść,

za aptekarza poszła. Niech ją tam... Trzymam dzierzawą majątek... Piach, panie dobrodzieju, bo piach; łąki takie, żeby jedną trawką wołu można zarznąć jak nożem; ale las, ale bagna, bajory, błota, trzęsawiska — moje uszanowanie! Nie wiele się z tego placi, nie wiele ma się dochodu, ale polowania człowiek używa, jak kot w studni, słowo honoru daje!... Ekonom pilnuje gospodarstwa... a ja, panie dobrodzieju, chodzę, strzelam, pieski chowam, panie dobrodzieju. A! pieski, bez przesady... za jednego parę wołów mi dawali... anim chciał słuchać. Wół kaczki z wody nie przyniesie, kuropatwy nie wystawi; co mi tam dyabli po wole!... ale pies... co pies, to pies! z jakim wiatrem, z jakim ułożeniem!... cudo nie pies... Wabi się Cerber, panie dobrodzieju... Jak tylko się wiosna zaczyna, to mnie aż coś podnosi. Pytam gajowego:

— Ciagną?

— Ciagną, wielmożny panie...

— A no, to ślicznie...

Przed wieczorkiem już jestem w lesie. Są tam błotka wązkie a długie... samym środkiem woda płynie... drzewa rzadkie... krzakami podszyte... miejsce stworzone do ciągu...

Człowiek sobie, panie dzieju, stoi i czeka. Wtem słyszysz... „chrap, chrap... psik, psik...“ Jedzie słonka. Składam się: pęc! — chlap; ma

się rozumieć jest... Ledwim nabił — znów: „chrap, chrap, psik, psik;“ lecą dwie... Pęc! pęc! chlap, chlap! obie moje. I znów nabijam i znów strzelam... a, bez przesady, co łup, to trup. Oko bo człowiek ma, nie chybia... Po trzydzieści słońek przynoszę co wieczór; rozdaję na prezenta... dla parobków każę w barszczu gotować! Rano znów na cietrzewie. Człowiek sobie w budzie zasiada przed świtem i, jak się tylko tokowisko zacznie, to, panie dzieju, nastrzela takich kałakutów jak indyki... dzieścić, piętnaście sztuk. Sąsiedzi nie chcą wierzyć... Phi! ja sambym może nie wierzył, ale co oko widzi, to święta prawda... Potem, bez przesady, nudy święte... polowania niema, ale ja próżnować nie lubię... to sobie, panie dzieju, jastrzębie strzelam, to szelmę lisa tropię, to pojadę na błoto kaczkorka upatrzę... i tak przejdzie... przejdzie jakoś do upałów. Wtedy na bagna, na bajory, na łąki... Cerber chodzi jak... ach! jak on chodzi: bekasy nie bekasy, dubelty nie dubelty, chróściele nie chróściele... Człowiek pali jak do jasnej świecy—co łup, to trup! dopóki prochu nie zbraknie... Bez przesady, panie dzieju, furami tego się tłucze! A różne bąki, kulony, bataliony, rzadkie wogóle—ale na naszych kochanych błotach to tego jak kur na podwórzu. Czaple, panie dzieju, żórawie, panie dzieju—a kaczkil!... U mnie służba przez

dwa miesiące samemi kaczkami się żywi... panie dzieju, cyraneczki... podgorzałki, krzyżówki takie bestye jak gęsi... ciężkie, tłuste, oblane... Człowiek włazi w bagno od rana, sans façon, panie dzieju, w negliżu... i wyłazi wieczorem... Ramię puchnie od dźwigania torby ze zdobyczą, bo to już nie żarty... to już nie na funciki, ale na pudy idzie... Lecz to nic... Puchnie, panie dzieju, jak poducha... smaruję na noc spirytusem mrówczanym, lub takim, co na pączki brzozowe nalany — i na drugi dzień jak ręką odjął... Kuropatw, panie dzieju, nie liczę, strzelam do nich jak do wróbli, jesienią, albo zimową porą z saneczek... Znajdę stadko, pęc! na-przód starkę, a potem już resztę co do jednej... Jeżeli posyłam komu zwierzynę na prezent, a zdarza się, że posyłam, to juścić nie parę kuropatw, albo dwie pary... ale pół kopy, kopę, czasem więcej... bez przesady! Zajac też u mnie nie zwierzyna... bo tyle tego talalajstwa tłukę, że nawet moje psy jeść nie chcą; wyjątkowo chyba, jeżeli dobrze naszpikować słoniną i śmietaną podlać... Chodzić na zające, chodzę; w podorywkę na upatrzonego, albo z gońcami... a gończe mam, proszę siadać! W magnackich psiarniach nic podobnego nie znajdzie. Skąd?! Szczerze mówiąc, każdy mój pies sam wygląda jak magnat... albo mu to źle na świecić?... Okropnie nie lubię samotności; żeby mi

przyszło jednemu w stancyi siedzieć, choćby tylko przez godzinę, tobym się chyba wściekł... to też u mnie zawsze na łóżku psy, na kanapie psy, na sofie psy, na fotelach po jednym psie, pod stołem na dywanie pies... w sieni psy, w kuchni psy, na podwórzu — psy... Jak człowiek w gorącej potrzebie pożyczycy sobie od Rotszylda w miasteczku ze sto rubli, to może spać spokojnie. Rotszyld nie przyjedzie się upomnieć—będzie czekał, aż ja się sam pokażę w miasteczku. Oni mnie znają, wiedzą, że oddam, że oddałbym i w domu, ale nie przyjeżdżają mnie odwiedzać... Naturalnie, pies to rzecz gustu; można psy lubić, albo nie lubić. Ja bardzo lubię. Zimową porą zaczyna się życie naprawdę... Knieja, knieja, panie dzieju, to mi dopiero raj! Łosie, panie dzieju, niedźwiedzie... Pytacie państwo, gdzie polowałem na niedźwiedzie? Właściwie... sam nie tyle polowałem, ilem się nasłuchał o niedźwiedziach od nieboszczyka dziadka, który (świeć Panie nad jego duszą) był u Radziwiłłów nadleśnym i niejednego Misia uśmiercił. On mi też o łosiach i żubrach opowiadał... U nas tu takiej zwierzyny niema, ale proszę mi wpuścić niedźwiedzia do knici, to już ja się z nim rozmówię!... Moje pieski, słowo honoru, nie tylko głupiego niedźwiedzia, ale krokodyla nawet wezmą za uszy...

Knieja, to raj... Sarny, dziki, wilki... Już to ja zwykle na jesień kniejówkę swoją szykuję — a strzelba to, proszę siadać! Cztery konie za nią dałem... za nią, temu pięć lat — i jakie konie! Ale też bije... na trzysta kroków strzał pewny. Prawda, że trzeba w nią wsytać garść prochu, z pół funta siekańców, albo loftek, ale jak wygarnie... to piorun niech się schowa! Kula do niej idzie jak dobry kartofel; nic a nic nie przesadzam... jak kartofel, ale też jak grzmotnie dzika w komorę, to takie w nim okno wyrąbie, że widać przez nie na wyłot... Jeden amator dawał mi za tę strzelbę folwarczek... bez przesady powiadam, folwarczek; dziesięć włók, jak obszył, z budynkami, inwentarzem,—ale nie chciałem... Drugiej takiej broni w Europie niema... to fakt... Co ja z niej dzików natłukłem!... Pamiętam, temu lat... a no... będzie ze czterdzieści — małym chłopaczkiem byłem, miałem może siódmy, może ósmy rok... ojciec mój polował na dziki... Wziąłem ogromny nóż z kuchni, wyostrzyłem go na kamieniu i, panie dzieju, na kucu, pojechałem do lasu inną drogą, bo ojciec nie chciał mnie z sobą zabrać. Wpadam do lasu, psy dzika stanowią... Nie wiele myśląc, ja — panie tego: hyc! panie dzieju, z kuca na dzika; jedną ręką, panie dzieju, za szczecinę, a drugą pcham mu nóż z wierzchu, panie dzieju, aż do dna. Dzik mało

się nie wścieknie z bólu, rwie galopem — ja siedzę, wpada na myśliwych—ja siedzę. Ojciec woła: „wszelki duch Pana Boga chwali!“ ja siedzę, bez przesady, jak mur, i pcham nóż coraz głębiej. Pędzi bestya, a kwiczy, aż się po lesie rozlega. Póltorej mili tak przejechałem, alem go zadźgał... Ojciec płakał z radości i ciągle mówił: „to krew!“ No jużćić, bez przesady—co krew, to krew... Na swoje poszedłem, dzierzawcą zostałem... dzików natłukłem tyle, że mógłbym z nich taką stertę jak stodołę ułożyć, a jeszcze tego pierwszego pamiętam... Był taki duży jak krowa, tylko tyle, że niższy...

A i jeszcze jednego też pamiętam, choć będzie temu lat ośmnaście może. Ciotki, panie dzieju, namówiły mnie, żebym się żenił... Ha! żenić się, to żenić; tak mi z tem, jak i bez tego, ale jak ciotki mnie obsiadły, jak zaczęły trajkotać—powiadam, panie dzieju: dobrze. Panna ładna, ród dobry, dziesięć tysięcy jak lodu, wyprawka niczego, fortepian jeden, fanaberyi sporo. Powozu jej się chciało swoją drogą, ale swoją drogą partya dobra... Tedy mam się żenić, pierwszego lutego ślub... A no, panie dzieju, ślub, to ślub, zaraz po południu. Od rana ubieram się we frak. Żeby z piekła nie wyrzał, kto takie odzienie wymyślił! Kładę rękawiczki—ma się rozumieć białe, no i mam

jechać do rodziców panny... wtem wchodzi gajowy i powiada:

— Szkoda, panie; obszedłem dzika, siedzi jak mur.

— Nie lżyj! — zawolałem.

— Jak Boga kocham! — powiada — taki jak wół; nic, jeno iść i zabić...

Coś we mnie piknęło...

— Możebyśmy przed weselem zdążyli? — zapytałem.

— Ha, może.

Krótko mówiąc, nie upłynęło pół godziny, byłem w lesie. Myslę sobie: przywiozę pannie prezent piękny... Gajowy psy puścił; dzik wali na mnie na sztych. Ja do niego: łomot! — szarpnął się, ja z drugiej lufy... — przyklęknął... ja z trzeciej... to jest, tak, nie z trzeciej, trzeciej nie miałem, tylko patrzę... ten się zrywa i zmyka w las; psy za nim... Farba bucha, panie dzieju, jak z fontanny... śnieg czerwony, panie dzieju — my z gajowym za dzikiem. Kołujem, kołujem po tropach, po farbie, poszła bestya daleko... — my za nim. Południe, jeszcześmy nie doszli; wieczór, jeszcześmy nie doszli; dopiero już w nocy, przy księżycu, dochodzimy — jest! Jak góra taki dziczysko, bez przesady... Pokrzepiliśmy się starką, zagryźli suchą kielbasą, dzika, panie dzieju, na sanki i do domu. Dopiero w drodze gajowy powiada:

— Pewnie tam panna młoda czeka...

— Do dyabła! — pomyślałem.

Ale po chwili myślę sobie: niechże kto chce sądzi, co pilniejsze? Dzik mógł z legowiska ruszyć, pójść w książęce lasy i po dziku... panna zaś siedzi w domu i nie ucieknie, a czy weźmie ślub dziś, czy jutro — mała różnica, wszystko jedno. Myślę sobie: jutro raniuteczko pojedę, przeproszę i niech raz będzie kozie śmierć — niech się ciotki cieszą... Właśnie rano ubieram się we frak, wtem ktoś zajeżdża... Wychodzę, żeby psy rozpedzić, patrzę, a to szanowny papa mojej panny... Ja do niego:

— Panie dobrodzieju! co za honor! Witam z otwartemi rękami.

A ten jak słup... Zjeżył się jak wilk i do mnie z zębami...

— Co pan chcesz?

— Tak się nie robi...

— Przecież jadę, widzisz pan, żem we fraku...

A on wprost:

— Możesz się pan nie fatygować; zrobiłeś naszemu domowi afront...

— Panie, to nie afront — powiadam, — tylko dzik. Patrzaj pan, wisi... o, tu, na dziedzińcu; zabiłem go na prezent dla pańskiej córki...

Myslałem, że się stary pozna na grzeczności, tymczasem on powiada, że ja sam jestem dzik, bez okrziesania, bez wychowania nie-

grzeczny. Od słowa do słowa, poszło nawet de grubis... Zapowiedział, żeby moja noga w jego domu nie powstała.

— Nie, to nie, nie napraszam się—mówię.—tak mi z żoną, jak i bez żony. Nie powieszę się ze zmartwienia...

No, słowo honoru, bez przesady powiadam, że nie powiesiłem się ani razu... Panna Julia w pół roku później wyszła za mąż, za sąsiada, i ten podobno już się dwa razy chciał wiesznać... Żydzi mi to mówili w miasteczku... Właśnie pisałem do niego, żeby do mnie przyjechał na polowanie; nie przyjechał — widać magnifika trzyma go dobrze na smyczy... Polowałem sam; bez przesady — jednym strzałem położyłem kozła i lisa z tej mojej kniejówki, za którą mi dziesięciowłókowy folwark dawano...

ICEK HARMIDER, FELCZER,

U ADWOKATA.

WYDZIAŁ FIZYKI
KATEDRA FIZYKI
FIZYKA



Wielmożny panie adwokacie! Nie potrzebuję dużo gadać... mam trochę kryminalną sprawę, kawałek takiego interesu, co wcale nie jest bardzo przyjemny, a wszystko przez naszych kochanych doktorów... Ładne życie! ładne czasy! Tfy! Jak Wojtek Bałaban z Koziej Woli był chory, to oni nie pisali żaden protokół; jak Wojtkowi zrobiło się lepiej, to też nie pisali protokół, ale jak Wojtek sobie trochę umarł, to zaraz zrobili cały gwałt! Obdukcye, sekcye, protokół, sprawe? Że chłop umarł—wielka ciekawość!... Jabym chciał mieć tyle tysięcy, ile chłopów przez jeden rok umiera... Oj, ja nie potrzebowałbym rwać zęby, stawiać bańki, puszczać krew, golić komu kawałek gęby... To nie jest piękny fach —

paskudne zatrudnienie, nawet jeżeli bez protokółu, a z protokołem to już nie fach, nie zatrudnienie, ale całe nieszczęście! Niech-no pan adwokat słucha. Oni piszą protokół, oni robią sprawę, oni chcą, żebym ja w kryminale siedział... Za co? Za to, że ja daję ludziom zdrowie, że ich ratuję w brzydkiej słabości, że się znam na medycynie? Aj waj, jak ja się znam! W całym miasteczku mnie znają, w całej okolicy znają, i doktorzy, na moje nieszczęście, także mnie znają — i przez to jest cała ich złość. Oni zazdrośni są, że ja im psuję praktykę; robią takie plotki, że ja łapię chorych na ulicy, że piszę recepty, że puszczam krew, że przystawiam używane pijawki, że kalczę bańkami, że podejmuję się robić operacye, że... cha! cha! Panie adwokacie, oni też powiadają, że ja potrafię zrobić jątrzącą się ranę takiemu żydkowi, co do wojska ma iść; że potrafię popsuć mu ucho, albo oko, albo zrobić inny feler... Co oni nie powiadają! Oni są źli, bo oni mają doktorskie patenty i do nich ludzie nie przychodzą, a ja nie mam doktorskich patentów i u mnie zawsze pełna izba chorych! Ja jestem tylko felczer, a oni wielkie doktory! Tylko felczer; zdaje się, marny żydek, wcale nie osoba — tymczasem, kto mnie zna, to wie, że drugiego Harmidera, drugiego takiego medycynika, w całym miasteczku nie znajdzie...

Co Icek Harmider potrafi, tego dziesięciu doktorów, żeby ich do kupy złożyć, nie potrafią! Temu dwa miesiące, nasz pan burmistrz był bardzo słaby na zęby: trzeba mu było wyrwać jeden, trzonowy. On mnie do tego zawołał! Dlaczego doktora nie wołał?! I nie zabawiło pół godziny—nie miał zęba! a jaki to był ząb! jaki ząb!... na moje sumienie!... A jak naszego aptekarza ciotka miała wielkie bolenie i trzeba było koło niej coś zrobić, to też nie wołali doktora, tylko mnie! Przecie aptekarska ciotka też osoba! Mogą się państwo zapytać, czym sfuszerował? Kto stawiał pijawki panu pisarzowi od sądu?—Icek Harmider! Kto smaruje nogę panu regentowi, jak mu łamany ból dokuca?—Icek Harmider. Kto stawiał cięte bańki księdzu wikaremu, jak on miał zapalenie płuc?—Icek Harmider... Wszystko Icek — leczył, pracował, fatygował się, i, Bogu dzięki, burmistrz już zdrów, i aptekarza ciotka jest zdrowa, i pisarz zdrów i ksiądz wikary zdrów. Dlaczego o tem nie jest pisany protokół? i dlaczego o tem nie jest pisany protokół, że stara Boruchowa umarła, choć był u niej jeden doktor, i drugi doktor i później na konsylium trzech doktorów? Ha? Dlaczego o tem niema protokół, jak o tym Wojtku Bałabanie? Pan adwokat powiada, żebym ja szedł prosto do sprawy. Właśnie ja do niej idę... Powiadają,

że ja jemu krew puściłem, temu kwartał, że na to są dwa świadki i znak na ręku... Mają dwa świadki, co niby widzieli, jak ja krew chłopu puściłem; a ja mogę zaraz postawić dwieście świadków, co tego wcale nie widzieli! Co się tyczy znaku—jaki to jest dowód? Ile ludzi ma znaki na ręku! Co to jest znak?—znak nic nie jest. Do zrobienia znaku wcale nie potrzeba felczera... chory mógł się zadrapać, mógł się sam skaleczyć; a może ukąsił go jakiś robak, może, za wielkiem przeproszeniem, pchła? Ale doktor się zawziął, chciał koniecznie protokół, no i jest protokół... On się już cieszy, że ja będę siedział w kryminale, że mi odbiorą felczerstwo... Niech on się cieszy. Tymczasem, ja tu przyjechałem i wiem, że mnie pan adwokat wyratuje... Ja pieniędzy żałować nie będę—dam sto, dam dwieście rubli! Tylko niech pan adwokat tak gada, żeby doktor nie wskórał. Mnie nie idzie o koszt, ja się z doktorem później porachuję... tymczasem idzie o mój honor...

Pan adwokat chce wiedzieć całą prawdę... no, ja powiem... Że chłop chory był, to jest prawda; że się leczył u tego samego doktora, co mnie skarży, naprawdę nie jest całkiem prawda; ale co to panu adwokatowi szkodzi, kiedy ja dam czterech świadków, co mogą przysiąc, że prawda... O tę krew, co niby ja

miałem z chłopą wypuścić krew, temu kwartał—to ja nic nie pamiętam. Może to trochę prawda, ale mnie się zdaje, że nieprawda, bo niema na to żaden dowód, tylko znak. Może być pytanie: kto zrobił znak? Albo ja wiem?... Są inne takie ryzykanty między felczerami. Ja nie chcę nikogo skarżyć, nie jestem żaden denuncyant, ale mi się zdaje, że tę krew puścił Berek Pistolet, drugi felczer z naszego miasteczka, co, będzie temu ze dwa miesiące, wyjechał z żoną i z dziećmi do Ameryki. On był golibroda medycyński i okropny ryzykant. Szynkarz tak piwa z beczki nie toczył, jak on potrafił z chłopów krew toczyć... Czy on puszczał krew Wojtkowi, ja nie wiem... ale mam świadki, że on... On bardzo śmiały był! Ja sam się nieraz bałem, że on w kryminale skończy... On już tam w New-Yorku pewnie masę krwi puścił—taki gwałtownik! Powiada pan adwokat, czy ja mogę być pewnym moich świadków? To wszystko porządni obywatele; nie było zdarzenia, żeby oszukali kogo w takim interesie. Jeszcze jest, panie adwokacie, dwa punkty: pierwsze, że doktor złapał moje dwa proszki kalomel, co były w chałupie u chłopą; drugie, że znaleźli na chłopie ślady od pięćdziesiąt dwie cięte bańki, co niby ja jemu postawiłem... Powiada pan adwokat, co to źle?... Mnie się zdaje, że nie... Naprzód ten

kalomelu, choć na papierku pisane, nie jest wcale kalomelu, tylko soda od burzliwy proszak. Chłopa bardzo paliło w gardle, więc ja mu dałem trochę sody z mojej własnej szafki... Papierek nie nie dowodzi; zawiąnałem w taki, jaki miałem, nie patrząc, co na nim jest pisane. O analizę, co pan adwokat mówi, jestem pewny... Skąd oni tam mogą znaleźć kalomelu, kiedy to jest sprawiedliwa soda?... Powiem panu adwokatowi prawdę, co ja zawsze daję chorym sodę... Czasem ta soda idzie za kalomelu, czasem za chininę, ale, na moje sumienie, powiadam, że choćby nawet za strychninę szła, to soda zawsze jest tylko soda. Więc ten punkt, można rachować, że nie jest wcale punkt... Jeszcze idzie o bańki... to, panie adwokacie, tyle mi zaszkodzi, co moja soda choremu... Zresztą, jak człowiek ma czyste sumienie, to ludzka złość może go tylko zmartwić, ale mu nie zaszkodzi. Ja się przyznaję: te pięćdziesiąt dwie cięte bańki postawiłem Wojtkowi Bałabanowi na plecach mojami własnymi rękami — i zaraz potem, na drugi dzień, Wojtek Bałaban sobie umarł.

Pyta pan adwokat: jak ja to mogłem zrobić? A ja pytam pana adwokata: jak ja mogłem to nie zrobić? Przecież miałem kartkę od doktora z drugiego miasteczka. Niech pan adwokat się przekona: „Proszę postawić Woj-

ciechowi Bałabanowi pięćdziesiąt dwie (Nr. 52) bańki cięte na plecach. Dnia... doktor B." Stoi wyraźnie jak bik. Pan adwokat się śmieje i powiada, że zna dobrze pismo doktora B. i że to jest kartka sfalszowana... Może być; ale dla mnie to była kartka od doktora; sam Bałaban mi ją dał, a na kartce nie stało, żebym ja szukał na niej fałszu, bo ja nie jestem sąd,—tylko stało, żebym postawił bańki, jako felczer... To jest mój fach. Dyabli wiedzą, może ta kartka nie jest prawdziwa, może ona nawet całkiem fałszywa... nawet teraz, jak mi pan adwokat powiedział, to już jestem prawie pewny, że fałszywa; ale co ja temu winien?! Owszem, niech łapią fałszownika, niech go wpakują do kozy!... Kto sfalszował?—Wojtek; ale że Wojtek nie żyje, niech szukają dalej, niech biorą Wojtkowę—to cyganka, paskudna baba; można śmiało powiedzieć, że ona tylko fałszem żyje... Oj, oj, proszę pana adwokata, jakie teraz czasy! jaki teraz świat!... co się z chłopami porobiło!... Dawniej ich było można oszukać, dziś oni wszystkich oszukują... Kto kiedy słyszał, żeby chłop fałszerstwem się trudnił? — a dziś oni handlują fałszowanem mlekiem, fałszowanem masłem; teraz już fałszują nawet kartki doktorskie! Ale co mnie do tego?... Ja nie jestem ani prokurator, ani obrońca Wojtkowej; ja wiem, że kartkę mi dał Wojtek... a skąd

Wojtek ją wziął, niech Wojtkowej pytają. Ja tylko chcę swojej sprawy bronić i spokojnie żyć. Mam na wszystko świadków, mam pana adwokata... Ha? pan adwokat robi mi trochę nadziei? Pierwsza instancja... No, ja, choć felczer jestem, nie słyszałem, żeby od pierwszej instancji kto umarł... Apelacya, druga instancya, potem jeszcze kawałek kasacyi... Panie adwokacie, moje świadki pewne, porządni obywatela, żadnego oszukaństwa nie zrobią... niech tylko pan adwokat pięknie gada. Tymczasem ja daję zadatek... Kiedy pan adwokat każe przyjść? Dobrze, ja przyjdę... Padam do nóg... do widzenia... (*chce wychodzić, po chwili zawraca*).

Panie adwokacie, jeszcze jedno słowo... Doktor będzie dużo na mnie gadał przed sądem... On ma paskudną gębę, on będzie wymyślał różne plotki na mnie... Zawzięty, aj, jaki on zawzięty! Ciągłe się odgraża!... On powie, że jak Mendel Kałakuckier miał do wojska iść, to ja zrobiłem mu ranę na nodze... Niech się pan adwokat zapyta, gdzie na to dowód jest? Mendel Kałakuckier od urodzenia na nogę chorował — to może jego matka, i jego żona i cała familia jego przyświadczyć... Doktor powie, że zeszłego roku ja szczepiłem chłopom ospę z takim świeżem limfem, że się wcale nie chciała przyjąć. Niech go pan adwokat zapyta: w którym kodeksie stoi, żeby się

każde szczepienie przyjęło? Doktor powie, co ja jestem truciciel, co utrzymuję u siebie materiały apteczne, piszę recept... on powie... albo ja wiem? On może powiedzieć, że ja kogo zabiłem na gościńcu, że konia ukradł, że komu stodołę podpalił... On wszystko może pleść... ale ja myślę, że pan adwokat wytłómaczy jemu, że w kodeksie stoi cały artykuł o potwarz i o dyfamację, i że za tak interes można też do kozy pójść. Zresztą, niech pan adwokat mówi, co chce, aby było git. Ja za moich świadków ręczę—to porządni obywatele; skoro raz się zgodzili, to nie zrobią zawodu, ani oszukaństwa... Panie adwokacie to jest czysta sprawa, jak szkło — w niej nie może być żadna dyferencja. O co chodzi? — o bańki i o plecy! Wielka rzecz! Co komu do tego? Czy to były sądowe plecy? czy doktorskie plecy? Nie, to były plecy Wojtkowe—Wojtek miał prawo zrobić z niemi, co sam tylko chciał... Co komu do Wojtkowych pleców?!

NA JEDNEJ GŁOWIE.

LIBRARY OF THE
ROYAL CANADIAN MOUNTED POLICE



(*Wchodzi zadyszana*).

Wszystko na jednej głowie, wszystko...
(*poprawia czepkę*) cztery dziewczki, spiżarnia, dwanaście krów, kury, kaczki, gęsi, indyki... i, z przeproszeniem państwa, cały chlew! Wszystko na tej jednej biednej głowie, ot tu... (*wskazuje*) i żeby za to chociaż, żeby choć coś, cokolwiek... choć czasem dobre słowo; ale gdzie zaś! (*wzrusza ramionami*) jeszcze im źle. Stłucze się co — Kokosińska winna; krowy dają mało mleka — a jakże! Kokosińska; wieprz trzy tygodnie temu się zatchnął — dalejże na Kokosińską; kury nie chcą się nieść — także Kokosińska przyczyną... jakbym to ja kury zbuntowała... I już każdy na tę Kokosińską, jak na burą sukę; a ja cierpię i milczę,

bo nie jestem, jak inne kobiety, prędką do gadania — i albo co powiem, jak mi bardzo już dokuczają, albo i nic nie powiem, choć mnie obmawiają, że jestem popędliwa. Ja popędliwa! Toć koniec świata! ja popędliwa, ja!? Bo żem raz garnek dziewczce na plecach rozbiła, to więcej dla postrachu, niż dla czego, a bardziej naumyślnie, żeby mnie pociągnęli do sądu, żeby mogła raz przecie w urzędzie powiedzieć, jakie to teraz czasy, jaak się ono tałalajstwo rozwydrzyło, że ani uszanowania dla kogo starszego, ani posłuchu, ani roboty, ani nic!—A jak przyjdzie niedziela, to na łańcuchu nie utrzymasz, tylko zaraz na tańce, na hulanki, do karczmy, a człowiek gdy co powie, to zaraz sąd... zaraz sąd! Ja jej dziesięć razy mówiłam:

— Ej, Magda, ty się szanuj!... Ja ci mówię: po wodę idź, zielska, za pozwoleniem, dla wieprza nasiekaj, kurom daj jeść; powiadam ci godnie i po dobroci: ty szelmo jedna, leniu, latawico, powiadam, szanuj się!

Innaby jeszcze w rękę pocałowała za takie macierzyńskie przemówienie, a ta zatracona do mnie z gębą! Powiada:

— Za co mnie Kokosińska dyfamuje? co Kokosińska nade mną przewodzi!

A ja mówię jeszcze po dobroci i delikatnie:

— Stul gębę, ty tłomoku!

A ona jak wrzaśnie:

— Niech Kokosińska sama stuli!... Co Kokosińska? Kokosińska taka sama sługa, jak ja, tylko że ja sobie, Bogu dziękować, młoda dziewczucha i ludzi nie straszę, a Kokosińska baba utrapiona, sekutnica!

Słyszał to kto? Nie sądź mnie, Chryste, ale aniołby nie wytrzymał. Stała dzieżka gliniana z kwaśnem mlekiem—jak nie cisnę; rozbiła jej się na plecach w kawałki. Masz, gadzino, coś chciała, znaj Kokosińską! Inna możeby uderzyła w pokorę, przeprosiła — ta'nie: „Do sądu podam, do sądu podam!“ wrzeszczy, aż pieje. Ja biorę znów garnek z ukropem, bo i najbiedniejszy robaczek broni się, jak go chcą zdeptać, i powiadam: „Idź, idź, psia duszo, idź, cyganko, idź, idź.“

Poszła... No, nic... Wyszło ze dwa tygodnie, aż przychodzi raz wieczorem sołtys i powiada: „Na jutro pani Kokosińska do sądu.“

Do sądu! Ha! cóż robić? Wzięłam na siebie ze siedem spódnic, nowy czepek, chustkę, ogarnęłam się — niech też i sąd wie, że ja co innego niż ona.

Przychodzę — sędzia już siedział, ławniki koło niego, pan sekretarz, wszystkie dziewczki od nas za świadki, kuchcik, stróż, ogrodniczek, jako że natenczas w kuchni był.

Weszłam, pokłoniłam się, czekam. Dopieroż sędzia powiada:

— Pani Kokosińska garnek rozbiłaś na tej dziewczynie?

— Prześwietny sądzie — powiadam, — bez urazy, nie garnek to był, ale dzieżka — i nie sądowa, ale dworska. Jeśli sobie dziedziczka szkodzi, może mi z zasług potrać. Nie wybrałam, jeszcze mam; rachunkowa kobieta jestem, zasług nie przepijam, ani nie tracę.

Sędzia powiada:

— Tak, według garnka masz pani rację, garnek dworski, ale plecy dziewczynine są i właśnie o to sprawa. Magda jest pokrzywdzona. Pogódźcie się.

Jak to słowo rzekł, właśnie gdyby mnie nożem w serce dźgnał.

„Pogódźcie się!“ Ja z nią! Może się jeszcze mamy całować, na poczęstunek zaprowadzić?... Czy ja jej przyjaciółka? czy z nią, z przeproszeniem, gęsi pasłam?

— Ach — powiadam, — prześwietny sądzie, nie mam się co z nią godzić, jako żem się nie klóciła.

A sędzia mówi:

— Jak pani chce, to będzie sprawa; radzę pani Kokosińskiej zgodnie skończyć, bo może być źle.

— Niby jakto? — pytam — w czym źle?

Powiada:

— Kara będzie.

A ja dopiero:

— To—powiadam—tak? To jeżeli dziewczka gałgan, sluchu nie zna, po muzykach lata, ziel-ska nie sieka, wody nie nosi, to nic! A gdy gospodyni, stateczna kobieta, matka dzieciom, wdowa godna, przemówi i na drogę dobrą pro-wadzi—to kara? Rzadko kiedy mówię, bo nie jestem gadatliwa, ale jak mi kto sadła za skórę naleje, to nie zmilczę, żeby tam nie wiem co!

Wszystko powiedziałam, wszystko, co tylko miałam na sercu i na wątrobie. Sędzia i ławni-cy sluchali i widać ich wzruszyło, bo zatykali sobie uszy; sędzia dzwonił, jakby na procesyi— a ja nic; rżnę swoje, nie pardonuję!—Co będzie to będzie, choćby się miał świat zapaść, niech raz prawda wyjdzie na wierzch, jak oliwa. Sę-dzia dzwoni, ja swoje,—podnosi się, ja swoje, i powiadam:

— Prawdę mówię, bo aż się prześwietny sąd podnosi! Mówię, gadam, ale, bez ura-zy prześwietnego sądu i honoru, to nie mnie się godzi karać za głupi garnek, ale dziewczkę wiaść, głowę jej ogolić, smołą oblać i pierzami obsypać, a wyświecić ze wsi i z gmi-ny, żeby miała nauczkę, jak należy starszych ludzi szanować i posłuch znać.

W gardle mi zaschło, mało się nie zatchnęłam, gorącość na mnie uderzyła, płacz mnie porwał, a żem była z tego zmartwienia zaziębiona, więc i kichanie mnie napadło i kaszel, aż stróż sądowy ze świadkami wyprowadzili mnie z sądu na dziedziniec. Przysiadłam na kamieniu, łzy otarłam i posiedziałam tam ze trzy pacierze, aż nadchodzi dziedzic; zły jak wilk, tylko wąsami rusza, powiada:

— Zawsze mi Kokosińska bigosu narobi, tfu!— powiada — niech Kokosińska idzie na folwark i pilnuje swojej roboty spokojnie, bez awantur; dziś udało mi się Magdę ułagodzić, że cofnęła skargę, ale — powiada — na drugi raz wdawać się w takie rzeczy nie będę i pójdzie Kokosińska do kozy, jak niepyszna.

Splunął i poszedł.

Pan Bóg widzi moją krzywdę sierocą, mój żal. Zapłakałam, jak małe dziecko (*placze*) Dziedzic Magdę łagodził, łagodził ją! Znam ja te łagodności, znam! Wypatrzę i, szelma ze mnie, jeżeli dziedzicze dokumentnie wszystkiego nie opowiem. On ją łagodzi! Za moje dobre, za moje serce, za moją pracę, za gęsi, za indyki, za takie spaśne wieprzki, za takie prosiąteczka śliczne, za takie sery! On ją łagodzi, a na mojej jednej głowie wszystko: samych krów dwanaście, cztery dziewczki, tyle drobiu, cały, z przeproszeniem, chlew...

(*Głos z za sceny: „Kokosińska! Kokosińska!”*)

— Idę, idę! Wiem; zmarniałoby wszystko beze mnie, skapiało, cały folwarkby przepadł... A dziedzić ją łagodzi za moją krzywdę... on ją jeszcze łagodzi!!

(*Odchodzi, wybuchając płaczem.*)

STRASZNA NOC.

Handwritten text, possibly a signature or title, is visible in the center of the page. The text is extremely faint and illegible due to the low contrast and quality of the scan.



Niech wielmożny pan nie gniewa się na Berka, bo to, co się dziś w nocy Berkowi stało, to się chyba jeszcze nikomu na świecie nie stało. Czy człowiek wie, jakie go może spotkać nieszczęście?

Pan był niespokojny;—ja wiem, że pan mógł być niespokojny; przecież wyjechałem za dworskim interesem i wiedziałem dobrze, że pan czeka. Miałem sprawunki: herbatę, smarowidło, wanilię, naftę, siedem par postronków, trochę cynamonu, kilkanaście funtów mięsa, nici dla wielmożnej panienci, dwa funty glomberskiej soli dla czarnego byka, głowę cukru i cztery szleje parciane... Widzi wielmożny pan, ja to wszystko mam w głowie!

Prócz tego, miałem się postarać u Wigdora o trochę pieniędzy dla wielmożnego pana na żniwo.

Zwyczajnie jak w gospodarstwie — i to też zwyczajnie jak w gospodarstwie: że na sprawunki nie dostałem wcale pieniędzy, a na pieniądze nie dostałem żadnego towaru.

Ja pojechałem.

Pyta się pan: gdzie są te sprawunki i gdzie są pieniądze? Niech-no ja powiem, jak się całe zdarzenie zrobiło, to wielmożny pan sobie za głowę złapie.

Ja się spóźniłem o całe dwadzieścia cztery godziny. Dlaczego?

To był nieczysty interes. Ja pojechałem stąd, z Wólki, do Pantoflowa na jarmark. Według prostego rachunku, powinienem był przyjechać napowrót z Pantoflowa tu do Wólki; przecież niema pięć dróg, tylko jedna i niedługa, całkiem półtorej mili; tymczasem ja zrobiłem półtorej mili do Pantoflowa, potem jechałem przez lasy (niech moje wrogi ten smak próbują!), potem nocowałem w takim miejscu, że jak sobie przypomnę, to mam pełne plecy mróz; jeszcze potem jechałem milę drogi po szosy, jeszcze potem byłem w Rybaczkach, a potem z Rybaczków jechałem tu do nas, pięć mil drogi bez żadnego popasu... No, widzi pan dobrodziej, jaką ja miałem rozkosz!

Pan jest ciekawy, jakim to sposobem się zrobiło? Aj waj! aj waj!

Zna pan moją kobyłę... kasztanowata, lysa, z białą nogą, fajń kawałek bydłę, amatorska sztuka!

Ona była u mnie całe osiem lat... Możebym ją trzymał dłużej, ale kupiłem ją nie bardzo młodą i bałem się, że ona może, za pozwoleniem, sobie zdechnąć. Taka śmierć koło domu nie jest przyjemna, więc myślę sobie: niech ona komu służy...

To była bardzo dobra szkapa. Trochę wlogawa, miała na oba oczy skałkę, a przez to, że dwa razy się ochwaciła, więc była krzynekę dychawiczna; zresztą bez żadnego feleru. Jedno tylko, że nie lubiła brykać, i chciawszy ujechać nią dwie mile drogi, trzeba było całkiem zniszczyć nowy bat i jeszcze kozicę połamać.

Do dnia pojechałem na jarmark.

Nie będę panu powiadał, jak jechałem, dość, że koło południa byłem już w Pantoflowie na rynku.

Oj, jarmark był! (żebym ja nigdy gorszego nie widział!) — taki ruch, taki ruch, jak dawno nie pamiętam!

Zajechałem do mojego szwagra Szmula, co ma szynk nad wodą, zaraz koło młyna; wyprzęgnąłem moją kobyłę i zaprowadziłem ją na koński rynek.

Nie bardzo kto się o nią pytał, ale trafił się jeden stary żyd, smolarz, co w rybaczkowskich lasach smołę palił, a teraz przeniósł się na Czarnorudę, do takiego samego interesu. On prowadził konia dropiatego; wielka szkapa, też bez feleru, tylko co kolano miał obwiązane, w prawej łopatce był spleczony i miał francuskie kopyta. Ten stary żyd powiada do mnie: „Słuchajcie, Berek, wy jesteście pachciarz, wam trzeba po letkości jeździć, a mój koń ma długie nogi; co stąpi, to sążeń! On dla was samo prawie pasuje, taki cugant, a mnie znów bardzo się spodobała wasza kobyłka. Mój towar nie lubi pośpiechu, a wasza kobyłka łysa jest właśnie z tego gatunku, co akurat do smoły.“

Ja myślę sobie: ten żyd ma rację. Mnie potrzebny jest koń ostry, co ma „fajer.“ Ja się kręcę po świecie, jeżdżę do różnych panów, niewam pilne interesa—ny, niech ja mam konia z fajerem (żeby jemu boki spaliło!). Zajrzałem temu wielgasowi w zęby, obejrzałem go dobrze.

Niema co długo powiadać, tęgi koń! Wsiadłem na niego z woza: aj waj! myślałem, że na stodole siedzę. Jak on bryknął, jak chrapnął, jak skoczył ze wszystkimi czterema kopytami do góry, to myślałem, że mnie, z przeproszeniem, wątrobę wytrzęsie. On latał jak gołąb! Ja zaraz z niego zeskiknąłem i mówię

do tego starego żyda: „Co wy myślicie wziąć za swego konia?” On żądał 21 rubli (żeby on 21 razy spuchł!) — ja swoją kobyłkę szacowałem tylko na półdziewiętnasta. Nie targowaliśmy się długo, może wszystkiego dwie godzinki — dopłaciłem mu rubla i kupiłem tego wielkiego, dropiatego paradyera.

Załatwiłem wszystko porządnie, wpakowałem sprawunki do fury, wypilem u mego szwagra Szmula kieliszek szabasówki i zaprząłem dropiatego.

Siadłem na wóz...

Jak ten koń zacznie skikać, wierzgać, jak bryknie raz i drugi, to cały jarmark rozpedził. Żydki się śmieli, wołali: „aj waj! Berek! Berek teraz jeździ jak hrabia, Berek kupił cuganta, co z niego smoła cieknie!... Berek, daj temu koniowi do zjedzenia całe pole owsa, do wypicia całe jezioro wody, to on może będzie jeszcze kiedy tłusty.“

Różne śmiechy słyszałem, różne przykre słowa, a tymczasem ten waryat leciał po bruku, przez most, ale jak wpadł na gościniec, gdzie piasek, to zaraz się zrobił całkiem inny koń—cała natura w nim się przewróciła. Widać już swoje takie fanaberye miał... zwiesił leb do samej ziemi i szedł pomaleńku, jak krowa. Ja jego batem, on stanął, ja jego drugi raz batem, on zaczął wierzgać, walić kopyta-

mi w wóz, potłukł mi cały przodek od wasąga.

Pyta się pan, co ja zrobiłem?

Ny, co ja miałem zrobić? Miałem się procesować z takim bydłeciem?! Położyłem bat koło siebie w wasągu i powiadam: „Idź sobie, łajdaku, jak sam chcesz, a w domu ja z tobą zrobię obrachunek: nie dam ci jeść, to się oduczysz wierzgać.“

Mnie się zdaje, że on też tylko tego żądał, żebym ja bat koło siebie położył. Znowu zwiesił łeb do ziemi i lał pomaleńku, jak wół.

Musiałem być cierpliwy — przecież nie mogłem się bić z takim gałganem. Jechałem...

Już się zrobił wieczór, pociemniało, miałem wielką chęć do spania.

W drodze nie bardzo pasuje spać, więc puściłem głowę w ruch. Obrachowałem, co kosztują pańskie sprawunki; obrachowałem, ile pan dobrodziej Wigdorowi zapłaci; obrachowałem, ile zarobiłem na cielętach—wszystko obrachowałem; a skoro już nie miałem nic do rachowania, to zacząłem myśleć o różnych mądrych rzeczach. Myślałem sobie, jakie jest ludzkie życie...

U nas stoi, że człowiek od małości do starości ma siedem różnych procederów. Naprzód, jak on przychodzi na świat, to jest wielki człowiek; wszyscy go całują, kołyszą, śpiewają

mu, cieszą się z niego, dają mu obwarzanek, albo cytwarowy pierniczek, wieszają mu na szyi pieniądze. Jak ma dwa albo trzy lata, to jest cały gałgan: tarza się po ziemi, grzebie w śmieciach, a co tylko znajdzie, to lubi wsadzić do gęby, choćby to było największe paskudztwo. W trzecim sposobie, nim dojdzie do dziesięciu lat, jest niespokojny, jak dzika koza: lubi skakać, zrobić szkodę, zepsuć co — łobuz jest. W czwartym — to on się robi jak zbrykany koń bez uzdy, jak waryat, jeszcze gorzej niż mój dropiaty; później się żeni; jak się, ożeni, to ma już gratyfikację — wygląda jak, za pozwoleniem, osieł, co niesie ciężar na plecach. Dochowa się dzieci — to już szósty sposób, już się on robi jak pies i lata z wywieszonym językiem tu i tam, wacha, gdzie co złapać dla dzieci, które wołają tylko: „jeść gwałtu, jeść!“ Nareszcie zestarzeje się i wtenczas to już, z przeproszeniem pańskim, wygląda jak cała małpa. To nie jest bardzo przyjemny interes, ale w tem szczęście, że te siedem procederów dotyczy tylko głupich ludzi, bo uczony człowiek nie wygląda nigdy ani jak koza, ani jak koń, ani jak osieł, ani jak pies, ani jak, broń Boże, małpa; ale jak człowiek, jak osoba; bo uczony im starszy, to mądrzejszy, a mądrość to samo złoto, same perły, sam najlepszy towar jest.

Tak ja sobie myślałem, taki miałem gang w głowie—i sam nie wiem, czym trochę spał, czym trochę nie spał... Nie wiem, na moje sumienie.

Zrobiło się zimno. Zapiąłem na sobie kaptotę i otworzyłem jedno oko... Ale jak prędko otworzyłem, tak jeszcze prędkiej zamknąłem... Nie wiem dlaczego, ja się bałem. Ten dropiasty — ja go ledwie trochę widziałem, bo noc była ciemna — to był niepodobny do konia, ale wyglądał jak wielbłąd; te krzaczki, co między nimi idzie droga do nas, do Wólki, to mi się wydawały jak wielki las...

Bardzo się bałem... Chciałem się modlić, ale nie mogłem. Co powiedziałem jedno słowo nabożne, to mi dziesięć myśli o złych duchach przychodziło do głowy. Zdawało mi się, że nie jadę tam, gdzie trzeba, że jestem w innej okolicy, może w innym kraju, może nawet całkiem na innym świecie... Oj, przypomniałem sobie, jak husyty powiadali, że piekło to jest wielka ciemna izba, a w tej izbie 70,000 ścian, w każdej ścianie 70,000 szpar, a w każdej szparze 70,000.... Ledwie pomyślał o takim brzydkiem interesie, tymczasem nagle ktoś mnie wyrzucił z wozu i pchnął z wielkim impetem w przepaść, w dziurę, w ciemność, w nic!... Leciałem do dna chyba siedem lat! — i gdym leciał, nie bolało mnie ani trochę, tylko

strach miałem wielki; ale jak już doleciałem do dna, krzyknąłem bardzo wielkim głosem i zobaczyłem, że ja już wcale a wcale nie śpię... Zobaczyłem, że ja jestem, żyję, ruszam się... Ramię sobie stłukłem; bolało mnie, bardzo bolało...

Leżałem, jak ten, co już umarł; nie mogłem złapać tchu, bałem się... Później zacząłem macać koło siebie rękami... Oj! co ja namacałem!—na dnie trochę błota, na wszystkie strony ściany mokre...

Nadeptałem nogą na coś twardego; schyliłam się, biorę rękami, to jest głowa cukru! Smoła śmierdzi, że nie można oddychać. Gdzie mój wóz?—niema wozu! Gdzie moje sprawunki?—niema moje sprawunki! Gdzie mój dropiaty koń?—niema mój dropiaty! Jest tylko głowa cukru... Czy ten, kto mnie tam wrzucił chciał jeszcze kpić ze mnie i dał mi cukier, żebym sobie gorzki los osłodził? Nu, co to za głupi figiel jest!

Siedziałem w tej jamie z kwadrans; mnie frybra trzęsła, mnie serce bolało, ale, na szczęście, miałem jeszcze całą głowę, a póki człowiek ma kawałek głowy, to może sobie jeszcze ratować. Mój ojciec zawsze powiadał: „Słuchaj, Berek, jak ty wleziesz kiedy w dobry interes, to ty w nim siedź; a jakbyś wlaźł w paskudny interes, to ty zaraz z niego wyłaź!”

Jak tu wylazić? Jestem w dole — trzeba się gramolić do góry.

Spojrzałem w górę... Oj! było całkiem ciemno. Nad przepaścią zrobił się szum, jakby gadanie, ale to nie było ludzkie gadanie... Potem coś mi kapnęło na głowę... raz, drugi, trzeci... potem coraz więcej, a potem to już zaczęło całkiem lać, jak z cebra. Ja byłem w wielkim strachu, mnie wszystkie włosy podniosły się do góry; myślałem, że to już mój koniec. Zakryłem sobie głowę kapotą i mówiłem pacierze, żeby Pan Bóg miłosierdzie zrobił.

Jak długo cierpiałem—nie wiem. Myślałem, że sto lat. Tymczasem słucham — mnie się zdaje, że małe ptaszki zaczynają świergotać... Wysadziłem głowę z pod kapoty. Bogu dziękować, jest trochę widno... Dzień się robi. Wierz mi, pan dobrodziej, że jeszcze żaden dzień nie był mi taki miły, jak ten dzień... Zrywam się na równe nogi, jakbym miał 15 lat... i zobaczyłem, że jestem w dużym, szerokim i głębokim dole, wykopanym w ziemi; na dnie dołu mokro, a w tej mokrości walają się kawałki węgla. Głowa cukru, którą ten galgan za mną wrzucił do dołu, leży; poznałem ją — na szczęście, nie zamokła, bo ja na niej siedziałem.

Jak zobaczyłem, że już się dzień robi, to ze mnie wyszło przynajmniej osiemdziesiąt procent

strachu; no, ale zrobił się zato kłopot, jak z tego paskudnego miejsca wyleźć.

Bogu dziękować, miałem na sobie długi pas wełniany i trochę sznurków w kieszeni; przywiązałem je do głowy cukru i, przy Boskiej pomocy, wylazłem na świat i wyciągnąłem cukier za sobą.

Gdy już stanąłem na ziemi, zobaczyłem, że jestem w lesie; po jednej stronie stały wielkie drzewa, po drugiej kilka morgów karczunku; pusta lepianka była niedaleko, a ślad na drzwiach pokazywał, że w tej lepiance mieszkali żydzi.

Pan się śmieje; pan powiada, że to jest bardzo prosty interes... że to smolarnia, że ja wleciałem do dołu po smole. Dziwno mi, doprawdy, że pan dobrodziej tak sądzi—ale niech-no ja powiem, jak dalej było.

Ja spojrzałem dokoła. Patrzą, między krzakami stoi moja fura; ten szelma dropiaty pasie się na trawie tak spokojnie, jakby mnie się żadne nieszczęście nie stało; chomont mu się zsunął na łeb, lejce całkiem zaplątał, ledwie rozmotalem...

W wozie wszystkie sprawunki były, oprócz jednego cukru. Bogu dziękować, nic nie zmokło, bo jeszcze w Pantoflowie opakowałem wszystko bardzo porządnie w słomę, jak się należy, jak zwyczajnie trzeba pakować pańskie rzeczy.

Jedno co bata nie było — gdzieś zginął... Wyłamałem porządny kij, siadłem na furę i chciałem jechać, ale dokąd? W tem paskudnem miejscu byłem dopiero pierwszy raz w mojem życiu i nie wiedziałem, w którą stronę trzeba się obrócić. Miarkowałem sobie, że najlepiej będzie jechać wprost przed siebie, bo nawet był ślad, że kiedyś ludzie przejeżdżali tędy. Dałem dropiatemu kijem raz i drugi...

Jak skiknął, jak zaczął wierzgać, pokazywać swoje fanaberye, to myślałem, że ze mnie życie wytrzęsie po korzeniach; za kwadransik wyjechałem na szosę i dropiaty znów po swojemu łeb zwiesił i szedł jak krowa do szlachtuza.—On ma taką paskudną naturę! Już było wysoko słońce, kiedy przyjechałem, zgadnij pan gdzie? Do Rybaczków! Aj waj! pięć mil drogi od domu. Ny, ale co miałem robić? Zjechałem do znajomych żydków, kupiłem temu gałganowi wiąznię siana, napiłem go, a potem wszedłem do izby. Tam opowiedziałem moją przygodę; żydzi kiwali głowami, wzdychali i powiedzieli bardzo mądre słowo: że człowiek nigdy nie wie, skąd na niego przyjdzie nie-szczęście.

Potem oni zawołali jednego bardzo wypraktykowanego człowieka, który ma takie widzenie, że to widzi, czego żaden człowiek nie widzi, i to zna, czego żaden człowiek nie zna.

Ten przyszedł, obejrzał mego dropiatego konia, zajrzał jemu w lewe ucho, potem trzy razy splunął i powiedział: „Słuchajcie, Berku, jeśli chcecie mieć spokojne życie, to wy zaraz sprzedajcie to bydłę.“ Za to słowo ja dałem jemu 18 groszy. Nie targowałem się wcale, bo w Rybaczkach taka taksa jest. Później poszedłem do szkoły, zmówiłem pacierze, posiliłem się trochę, no i przyjechałem do domu, pięć mil drogi, na moje sumienie! Przyjechałem, Bogu dziękować, żywy, chociaż nie bardzo zdrów, bo przestraszony i potluczony; ramię boli mnie bardzo — będę musiał sobie okowitą smarować...

Fe! ja nie rozumiem, dalibóg, z czego pan dobrodziej się śmieje! Co tu do śmiechu jest? Wielmożny pan powiada, że to się stało bardzo prostym sposobem, że ja usnąłem na furze a dropiaty skręcił do lasu i włókł się do samej smolarni, że nad dołem fura sobie przechyliła, ja wyleciałem, a za mną głowa cukru, co na wierzchu leżała. Pan powiada, że jeszcze to dla mnie szczęście, co koń mocno szarpnął, bo mogłaby cała fura w dół wlecieć i zabić mnie, broń Boże, na śmierć. Niedość na tem; pan powiada, że ten żydek widzący, co w Rybaczkach oglądał dropiatego i kazał go sprzedać, to jest głupi i sam nie wie, co gada... Pfe! pfe! nie spodziewałem się na wiel-

możnego pana takie słowo! Nie! Po pierwszego, jeżeli wypadek, jaki ja miałem, jest taki bardzo prosty interes, to zapytam się: dlaczego moja dawna kobyła nie zawiozła smolarza do nas, ku Wólce, nie zaciągnęła jego w bagna pod Żabimbrodem, albo w jezioro?

Powiada pan, że smolarz nie spał... Ny, gdzie jest na to świadki, że on nie spał? A choćby nawet i byli świadki, to jakim sposobem mogli widzieć, że on nie spał, kiedy była ciemna noc i nie tylko ludzkiego oka, ale nawet całego człowieka nie można było zobaczyć... Teraz pytam się pana, który to żyd w drodze nie śpi? Każdy śpi, bo co ma robić?

Naprzód trochę rachuje, potem trochę myśli, a potem trochę śpi.

I smolarz też spał, tymczasem widzieli go żydki rybaczkowskie, jak jechał do Czarnorudy całkiem żywy i zdrów.

Po drugiego, wielmożnemu panu się zdaje, że koń to jest koń. Pyta się pan: a co jest? Niedość, że po wierzchu on jest koń, że ma wielki łeb, cztery nogi, ogon, ale zgadnij pan dobrodziej, co w nim we środku jest? Powiada pan, że wiadomo, co w koniu jest. Cha! cha! to jest dziwne gadanie, dalibóg! W koniu siedzi ludzka dusza za karę. Pan nie wie? No, to ja panu powiem: były takie dusze, co siedziały

w gołębiach, w rybach, w kurach; są i takie, co w koniach siedzą.

W tej łysej kobyłce, co ją niewiadomo po co sprzedałem, była jakaś spokojna dusza, bez fanaberyi, bez grymasów... taka sobie prosta, ordynaryjna dusza.

Pan się znowu śmieje... Dalibóg, niema się co śmiać. Jak ja dropiatego kupilem, jak go zaprząłem, jak on zaczął wierzgać i brykać, to myślałem, że w nim, bez urazy wielmożnego pana, siedzi szlachecka dusza. Nawet ja się z tego cieszyłem, bo choć taka dusza bryka, ma swoje fanaberye i lubi wierzgnąć, ale jak jej jeść nie dać, a ścisnąć ją dobrze, to już nic nie gada i ciągnie jak wół.

Niech wielmożny pan nie dziękuje mi za komplement, bo to nie jest komplement, tylko prawda. My, żydki, znamy się na tym interesie, ale w dropiatym niema ani szlacheckiej, ani chłopskiej duszy; w nim siedzi jakiś wielki gałgan... może sam dyabeł. Ten znający człowiek w Rybaczkach wiedział, dlaczego pluł trzy razy, wiedział, dlaczego kazał mi go zaraz sprzedać!

Ja się posłucham. Ja mam żonę, mam dzieci, chciałbym jeszcze żyć, choćby i dla wielmożnego pana, bo ktoby panu przywiózł sprawkunki bez pieniędzy i pieniądze bez towaru?

Gdzie pan każe złożyć sprawunki? pewnie zanieść do kancelaryi — a oto pieniądze od Wigdora. Niech się wielmożnemu panu zdaje, że te pieniądze to jest woda wyciśnięta z kamienia. Spróbuj pan wodę z kamienia wycisnąć — ja potrafiłem zrobić tę sztukę!

Ja nie lubię się chwalić, ale ja dużo sztuk potrafię; a przez co? Przez to, że mam głowę.

Widgor nie dużo sobie porachował—całkiem 5 na miesiąc. On twardy jest, ale on teraz syna żeni, on potrzebuje mieć dla niego posag. Pojutrze ja znowuż jadę na jarmark, sprzedam tego gałgana dropiatego, bo w nim siedzi cały Haman! On mnie może (nie w złą godzinę powiedzieć) w gorszy jeszcze interes wprowadzić, a ja nie chcę...

Tymczasem kłaniam panu; proszę o kwitek na dwa garnce okowity... Pyta pan, na co? Do smarowania... Mówi pan, że to trochę za dużo... Ja miarkuję, że nie... Mam całkiem stłuczone ramię. Oj! to była straszna noc; wierz mi pan dobrodziej, że nie chciałbym próbować takiej drugiej, choćby mi pan dawał nawet całą beczkę okowity!...

NIEDZIELA.

Monolog pana majstra.

LIBRARY

of the University of Toronto



Zono! ja ci powiadam sprawiedliwie: postaw miotłę w kącie i awantur nie rób, bo wiesz ty, która godzina?! akurat druga po północy... słowo honoru... Jak to czas prędko idzie; zdaje się, że dopiero co wyszedłem z domu...

Mówisz, że jestem stary pijak... Kobieto! upamiętaj się, bo kłamiesz dwa razy — od razu dwa razy... jak cię kocham. Nie jestem stary, bo mam dopiero lat... niech je tam! ile mam, to mam, moje własne, nikomu nie ukradłem — a pijak też nie jestem, tylko mi trochę we łbie zaczmerzało. Człowiek nie święty... bo żeby był święty, toby nie siedział w warsztacie, tylko w niebie...

Józiu, żono, kochanie, nie urągaj!... miotłę odstaw, ja nie taki... Mam dla ciebie coś...

Pić, piłem — nie zapieram się, ale o tobie pamiętałem... Aha! ciekawaś? Poczekaj... dam, nie bój się — tylko posłuchaj... Wiesz, co dziś jest? Niedziela... Rano poszedłem do felczera, żeby mi gębę oskrobał do czysta... bo to niedziela; potem byłem w kościele, ma się rozumieć — przecież niedziela; potem poszliśmy na flaki... Juściż, wiesz dobrze, Józiu, żono kochana, że niedziela bez flaków nie znaczy nawet tyle, co piątek... Był Ignacy, Józef, Michał i Antoni, ja piąty... Ten kolejkę, drugi kolejkę, każdy kolejkę, ja kolejkę: po pięć gorzkich, flaki swoją drogą, po pięć piwa, a Antoni zaczął przyspiewywać: „Jeszcze raz, ptaszku mój, jeszcze raz!“ Zdrowy chłop i porządny człowiek... Jeszcze raz, to jeszcze raz... Był Ignacy, Józef, Michał i Antoni... ja piąty. Ten kolejkę, ten kolejkę, każdy kolejkę, ja kolejkę—i było znowuż po pięć... a Józef się rozochocił, powiada: „Jedźmy, chłopcy, na Kępę! Dobra!“

Józiu, mówię ci, nie urągaj, miotłę odstaw. Widzisz, co ci przyniosłem?... patrz, flaszeczka... malinowa, z Kępy... honorowe słowo ci daję! Widzisz, ja nie jestem taki... Kępa żoną, a żona kępą... to jest... chciałem powiedzieć: kępa kępą, a żona żoną... Żebym ja nie wiem gdzie był, zawsze o tobie myślę... A co? cacy wódzia?! Malinowa, honorowe słowo ci daję... Jeszcze raz, Józiu, kochanie... jeszcze raz!

Chcesz wiedzieć, jak było? Żałuj, żeś nie widziała... Był Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja. Karuzela... Posiadaliśmy na konie i do pierścieni — jazda! Ja miałem takie szczęście... co moment: „partya! partya!“ Powiadam ci, grałem jak z nut... niech się Modrzejewska schowała! aż ten od karuzeli kręciciel za łeb się złapał... Powiada: „Dwadzieścia cztery lata już kręcę, na Kępie kręcę, na Ujazdowie — powiada — kręcę, na Bielanach kręcę... a jeszcze takiej zgrabności nie widziałem.“ Jak cię kocham, Józiu, nie łzę! Był Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja... Ten kolejkę, tamten kolejkę, każdy kolejkę, ja kolejkę, wszyscy kolejkę... Pamiętam, że na moim zegarku była czwarta...

Ty, Józiu, kochanie, miotłę odstaw, a skosztuj jeszcze malinówki... anielski trunek...

Tedy, to było pod krzakami, w trawie. Budzę się... księżyc, panie, świeci, wielki jak patelnia; słyszę: muzyka różnie, tańczą... powiadam ci. Budzę się... wstaje Ignacy, Józef, Michał, Antoni, no i ja — wtem nadchodzi jeszcze Marcin, Stanisław i ten gruby Kuba z Dunaju, sąsiad... Ano — gadu, gadu... ten kolejkę, ten kolejkę... osiem kolejek... Ochota wzięła — poszliśmy tańcować...

Tylko, Józiu, kochanie, nie waryuj... Znam swój honor i z byle kim nie tańcowałem... Kompania była porządna — możesz się jutro

grubego Kuby spytać... Trochę mnie zmorzyło i już dalej nic nie wiem... Coś mi się przypomina, jakby krzaki... jakby Wisła, jakby coś ciężkiego do łodzi nieśli... Może mnie... nie zakładam się, ale pewnie nie kogo, tylko mnie, bo pamiętam, że jakby mnie coś kołysało, a po głębie chłodzące przechodziło, jakby mnie kto dobrą brzytwą golil... Potem przemawiałem się z kimś... potem coś mi się majaczyło, jakbym niby komuś dał w łeb... potem jakby niby stójkowy, nie... zdaje się, dwóch stójkowych — jakby niby cyrkuł... i Kuba mnie tu przywiózł w doróżce, do bramy zadzwonił, drzwi mi pokazał i powiada: „Teraz sam idź, bo ja się twojej żony boję.“ Widzisz, Józiu, on się ciebie boi, choć taki gruby chłop.

Ty, Józiu, kochanie, nie urągaj, miotłę odstaw... Zgrzeszyłem, w piersi się oto biję: moja wina! grzeszny jestem... Kto z nas sprawiedliwy?... Boże miłosierny! kto sprawiedliwy?!... To ci zaś, Józiu, kochanie moje, przyrzekam, że jeżeli mnie drugi raz pokusa weźmie, niby według Kępy... to pojedziemy oboje... Będzie Ignacy, Józef, Michał, Antoni — no i my...

Pan Fajerwajs o Panamie.

Handwritten text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text is faint and difficult to decipher but appears to contain several lines of script.



Monolog1.

<http://rcin.org.pl>

Pan Fajerwajs, kapitalista mniejszego kalibru, ubrany po europejsku — nosi cylinder, ale zatraća trochę żargonem.

Widziałem już dużo interesów: mądrych i głupich, złych i dobrych, ale takiego złego i głupiego, jak Panama, nie widziałem jeszcze! Mogę na to dać słowo honoru, poręczyć solidarnie i dać nawet kaucyę, na moim domu, co ja go sobie nie dawno kupiłem na końcu Dzielnej ulicy. Śliczny dom, tylko trochę daleko; ja lubię spacerować po Saskim ogrodzie, a nim przyjdę z domu, to już jestem bardzo przespacerowany. Uf! ja sobie potrzebuję usiąść w cukierni, kazać sobie podać moją gazetę i moją herbatę; dopiero wtenczas przez moje złote binokle czytam wiadomości

polityczne. Ja bardzo lubię czytać wiadomości polityczne, lubię wiedzieć, co się dzieje w świecie, jakie nowe szwindle ludzie potrzebowali wymyślić. Choć... niech mi kto powie, czy są na świecie nowe szwindle? Mnie się zdaje, że one wszystkie stare i wypraktykowane...

Panama, powiadają, jest nowy szwindel. No, no, ja nie wiem, ale myślę, że koło morza Czerwonego też było trochę Panamy... Egipcyanie stracili, a nasi żydki wyszli sobie suchą nogą z interesu. Drugi raz, już za mej pamięci, przy tem samem Czerwonym morzu zrobiła się sueska Panama; widać już takie miejsce szczęśliwe. I jak porządnie się zrobiła! każdy coś zyskał: akcyonaryusz miał swoją dywidendę, robotnicy zapłatę, inżynierowie i przedsiębiorcy cokolwiek dochodu, a zarząd! Aj, żebym ja miał choć pięć procent od tego, co miał tamten zarząd, to jabym nie siedział tu w Saskim ogrodzie... *(Po chwili)*. Dlaczego nie miałbym tu siedzieć?! Owszem, właśniebym siedział, i z żonąbym siedział, i z córkąbym siedział, a hrabiowie tańcowałiby koło mnie, a kłaniali się do samej ziemi... a ja? Ja siedziałbym sobie, patrzył na nich z góry, bardzo z góry, paliłbym cygaro, prawdziwe trabucos za pięć kop. i pozwalałbym im, żeby oni powąchali cokolwiek ten dym. Ja nigdy nie żałuję; a jeżeli mogę komu co przyjemnego zrobić, to zrobię.

Ja wiem, że oni lubią tak... i owszem, niech używają...

Ta Panama spać mi nie daje... Próbowałem nawet perski proszek, ale nie pomogło. Wiodocznie albo proszek zwietrzały, albo Panama za mocna. Jak ja żałuję, że tam nie był, jak żałuję! a mogłem być, bardzo mogłem. Tak to zawsze, jak człowiek ma dużą i ładną rodzinę, najczęściej nie zna jej całej, dopiero jak się jaki ktoś stanie sławnym, jak go wsadzą do kryminału, albo rozeszłą za nim listy gończe, człowiek dowiaduje się, że ten sławny i głośny jest mu blizki krewny... Z Hertzem Corneliuszem (on naprawdę miał na imię Kielman) byliśmy blizko skuzynowani przez jedną ciotkę, a z Artonem przez drugą ciotkę, a pana Eiffla babka i moja babka były rodzone siostry. Że ja o tem nie wiedziałem wcześniej! Przy takiej arystokracji zostałbym sobie jak nic panamskim dyrektorem i obrabiałbym ten interes nie tak, jak oni obrabiali—po głupiemu, ale po warszawsku. Jabym im pokazał, że można żyć porządnie i handlować i majątek zrobić, a w kozie wcale nie siedzieć. Ale trudno—już się stało, Panama popsuta, akcye nic nie warte, a głównie ci, co powinni teraz w pałacach mieszkać, mieszkają na francuskim Pawiaku, albo muszą się ukrywać przed policją, jak zwyczajni zbrodniarze... A co oni zawinili, na czem stoi ich grzech?—

nie byli zgrabni, nie mieli delikatności w robocie...

Pokazuje się, że ciężka ręka bywa zawsze niedobra.

My tu jesteśmy praktykowani ludzie... nie zrobilibyśmy takiej grubej fuszerki, a przecież mamy tu swoje Panamki. Choćby na przykład lombardy. Każdy lombard warszawski to jest wielka Panama na małą skalę, a przecież lombardniki w kozie nie siedzą, gazety o nich nie piszą... Wszystko jest dobrze, wszystko git, wszystko w porządku. Na co brać większy procent? Na co ludzi biednych obdzierać? lepiej być porządnym obywatelem i nie żądać więcej procentu jak $1\frac{1}{2}$ na miesiąc i 5% na miesiąc na koszt przechowania zastawu. To jest uczciwie i sumiennie; nikt lombardnikowi od panamczyków nie wymyśla, bo za co? A cały kredyt warszawski czy też nie jest porządna Panama? ale porządna Panama, nie taka głupia jak francuska! Urządzona przesłicznie, tylko patrzeć i podziwiać. To już nie jeden kanał, ale cała kombinacja kanalików i przykanalików, z siecią rur, przez które wyciąga się cały dochód z najrozmaitszych ludzi, z całej Warszawy. Są instytucje bankowe; te dają pieniądze wielkim żydom na 6% , ci dają mniejszym na 12% , ci jeszcze mniejszym na 18% , a ci różnym łapserdakom na 24% . Łapserdak

puszcza je takim panom, co bardzo potrzebują, na 36%, 48%, a czasem na 60% — jak może. Tym sposobem jest doskonały ruch i doskonała kombinacya. Kto bierze ostatni—płaci procent łapserdakom, małym żydom, średnim, wielkim i nakoniec instytucyi. Niech-no mi Eiffel z dwoma Lessepsami, Reinachem i Artonem zrobią taką porządną Panamę! Nie ryzykuje się wiele, nie wyklada z kieszeni nic, a przekopuje się od razu setki tysięcy kieszeni i ciągnie z nich ruble, jak wodę.

Wierzcie mi państwo, ja nie jestem kosmopolita, ja kocham i proteguję wszystko, co krajowe, i ja mam rację.

Chwala, że za granicą wszystko jest lepsze, większe, mądrzejsze niż u nas,—ale to fałsz, to nieprawda. U nas wszystkie spekulacye są lepsze, każda specjalność wydoskonalona, doprowadzona do wielkiej akuratności—coś pikies fein...

Choćby na przykład ten mój dom na Dzielnej ulicy, co ja go nie dawno kupiłem, co to jest? Ktoby myślał, że dom, a to Panama, ale jaka Panama i ile razy Panama! On jest ładny domek, zbudowany bardzo delikatnie, wcale nie po grubijańsku, jak inni ludzie budują. On dał zaraz ładny dochód przy budowie. To, można powiedzieć, była taka ceglana, wapnianna, drewniana, cementowa i blaszana Panama!

Ludzie trochę zarobili, a właściciel też taki sam był, jak i był...

Ten dom jest ładny dom. On mi się podobał... Ja w tym czasie zajmowałem się specjalnie stręczeniem domów, handlem, zamianą na majątki ziemskie, spekulacją. Otóż ten dom pierwszy właściciel chciał koniecznie zamienić na majątek ziemski. Sprzykrzyło mu się spokojne życie w Warszawie, chciał wsi. Postarałem się o majątek, śliczny kawałek gruntu, złoty piasek! Zrobiła się transakcja. Ja dostałem za pośrednictwo od jednego i od drugiego. W rok później szlachcicowi sprzykrzyło się siedzieć w Warszawie i zamierzył zamienić kamienicę na piasek. Posłał po mnie. Ja — i owszem, dlaczego nie? „Za tydzień znajdę panu majątek i amatora na dom.“ Zrobiła się transakcja. Mój dom znalazł trzeciego właściciela. Ja wziąłem swoje od jednej strony i od drugiej strony i było bardzo dobrze. Trzeci właściciel nie długo się cieszył domem; był w interesach, potrzebował pieniędzy... Wygodziłem mu parę razy—wpichałem się na hypotekę; bardzo dobrze. Jak się na hypotekę wchodzi, to się z niej nie prędko schodzi, chyba że się spadnie; ale ja nie głupi, potrafiłem się dobrze obsadzić. Po dwóch latach właściciel mego domu zobaczył, że nie ma już co robić w tym domu. Przyszedł do mnie po radę; ja

mu dałem zgodnym sposobem, to jest nawet nie dałem, tylko obiecałem tysiąc... Później po trochu wybrał to ratami. Puściliśmy przez Towarzystwo—zrobiła się bardzo ładna licytacja; trochę długów hipotecznych spadło, ja zostałem właścicielem.

Niech potrafi taką sztukę który z panamskichmacherów! Ja wcale na kupno domu kapitału nie miałem. Spekułowałem, aby żyć, no, żyłem przyzwoicie, ale bez majątku, dopiero jak sfaktorowałem dom trzy razy, to go kupiłem na własność.

Teraz ja jestem właścicielem domu, a poprzedni właściciel... trudni się faktorowaniem domów... tylko ta jest różnica pomiędzy nim a mną, że ja kupiłem sobie dom, a on nie ma za co kupić sobie butów...

To jest dopiero prawdziwa Panama!

MACIEK WIECHEĆ

U DOKTORA.



A juści, wielmożny konsyliarzu, dyć tak...
Jestem Maciej, ze wsi Kobiałka-Pusta,
po przewisku Wiecheć... Juści tak, gospodarz
jestem obsiedziały, niby na swoim gruncie, ale
tego gruntu, pożał się Boże, tyle co pies na-
płakał trzy morgi i prętów pięćdziesiąt i znów
półtorej morgi piachu pod borem — jeno co
mnie kobyła ratuje, jako że się niby do fur-
manków najmam... A juści, wielmożny konsy-
liarzu, żeniaty jestem sprawiedliwie; dziecisków,
Bogu dziękować, je pięcioro, a czworo pomar-
ło, zara z maleńkości. Chorobów nijakich, ani
słabościów nie znałem, zdrów zawdy byłem jak
koń, jeno jakieśmy łośńskiego roku kamienie
do szosy zwozili, zdźwigałem się krzynkę i po-
częło mnie w krzyżu strzykać, a zaraz potem

znowu, w zimie, to mnie kolki tu oto spierały (*pokazuje na piersi*), i ciągoty miałem, i dygotki i znów mnie w gorącość wrzucało, ale potem krzynkę ustąpiło i tera jeno mnie znów ziębi i łamanie po gnatach mam... Do jadła nie bardzo ja... choćby mi pszenne kluski ze słoniną dawali, choćby nie wiem co—ani w gębę! Do picia zato bardzom chciwy. Jak mi się w polu pić zachce, to do byle jakiego rowu przypadnę i piję, piję, nie przymierzając, jak koń. Powiada wielmożny konsyliarz, że musiałem się krzynkę przeziębic?... Zaziębic ja się nie zaziębilem, boć zawdy siaki taki kożuszyna je i przy robocie człowiekowi ciepło, jeno raz wleciałem het, ze łbem pod lód, kiele młyna i nim mnie młynarczyki wyciągnęły, nim dowlóklęm się do chałupy, nim ściągnąłem z siebie mokre odzienie, to niby mi było krzynkę zimno i zębami klekotałem jak bocian. A! wielmożny konsyliarz pyta, czy miałem jaką kuracyę? Niby czy mnie kto lekował? A juści, lekowali, lekowali dobre ludzie; jedno nadało, drugie nie nadało, a w kuracyi byłem ciągiem. Jakie doktory? Po prawdzie, konsyliarzów nie szukałem, bo gdzie to ta u nas na wsi! Zanim się człowiek doczeka jarmarku, to i choróbsko całkiem zmoże, a namyślnie według lekowania jechać, to i mitręga i koszt duży. I dziśbym ja, po prawdzie powiedziałwszy, do wielmożnego konsyliarza nie

przyszedł, jeno raz, że jarmark, a po drugie, że mi nasz rządca ze dwora naraił, żeby koniecznie być... to i przyszedłem, i oto dopraszam się łaski wielmożnego konsyliarza, żeby wielmożny konsyliarz dał co takiego, żeby albo na jedną, albo na drugą stronę; bo już mi się zmierzilo to cherlanie, a najgorzej ono zimno i ból po gnatach... Ma być śmierć, niech będzie śmierć, jeśli taka wola Boga miłosiernego, a ma być lepiej, niechże będzie lepiej, bo podług gospodarskiej potrzeby, jak chłop zdrowia dobrego nie ma, to nawet tyle nie znaczy co baba...

Skoro wielmożny konsyliarz chce wiedzieć prawdę, jakie miałem lekovanie, to powiem zara. Jakem się przy onych kamieniach podźwigał, to jedna kobieta znająca powiedziała, że to musi nie co, jeno urok, albo zadanie i że trza odczynić. Odczyniła i okadziła mnie zielem siedmiorakiem, ale nie bardzo to nadało. Później kowal nasz przyszedł i powiedział, że to musi nie co, jeno zła krew, a jak nie zła krew, to suchy ból, a jak nie suchy ból, to pewnikiem psotny wiater—niby zawianie. Tak oto, wielmożny konsyliarzu, wysmarował mnie psiem sadłem i kazał wypić trzy kieliszki wódki z pieprzem, trzy przez pieprzu i znowu trzy z tłustością i ukłaść się przy piecu i przykryć kożuchem... Ano, juści nie mogą powiedzieć—

krzynkę nadało. W gorącość mnie wrzuciło i przeleżałem tak dwa dni, a trzeciego dnia jużem trochę łąził i chociaż kole była obrządek uczynilem, sieczki trochę narżnąłem, ale zawdy do swojej siły przyjsć nie mogłem... Dopieroż moja kobieta poczęła z babami rajcować; raiły, raiły i przed chałupą i w karczynie i tak i siak, aż naraiły, żeby z trzeciej wsi kobietę jedną sprowadzić, co próbantka jest i znająca na wszystkie cztery boki, a powiadają, że takie ma ślepie, co niemi widzi w człowieku, jak we szklance... Sprowadziły oną Walentowę, tak się niby ta baba zowie. i znów poczęły rajcować a rajcować, aż się wpakowały, niby do mnie, do izby, osiem babów i dziewiąta dziewczka Jagna, ale ta bardziej z ciekawości niż do pomocy... Wpakowały się i powiadają niby do mnie: „Ot, nie bójta się, Macieju, wszystko bajki: wątroba się w was zruszyła i poszła tam, gdzie nie potrzeba; natrząśniemy was krzynkę, postawimy garpek na żywocie i na bez tydzień będzieta tańcowali se w wesołości serca i we zdrowiu dobrem...“ Ha, no, rzekłem, dobrze...

Wielmożny konsyliarz śmieje się... Ja wiem, że doktory powiadają, jako niema w chłopie takiej rzeczy, coby się zruszyła... i że jeno głupi naród se zmyśla... Ha, no, siak czy tak, ludzie też się znają coś i wiedzą... Zaprowa-

dzily mnie do stodoły, omotały nogi postronkiem, przerzuciły postronek przez belkę i dalej dugować w górę... Obwiesiły mnie za nogi; Walentowa natrzęchnęła mnie ze trzy razy i powiada: „Już!..“ Aż mi we łbie zaszumiało i w uszach poczęło dzwonić, jak na sumę. Zdjęły mnie... Ledwie dolazł do izby, zara wzięły garnek, ukrajały kawałeczek chleba, nawtykały w niego wióreczków, zapaliły, postawiły na żywocie, niby u mnie, i nakryły garnkiem. Juści ciągnęło, bo ciągnęło; myślałem, że chyba mnie całego i ze łbem w ony garnek wciągnie — i niby nadało trochę, jeno bez oparzenia żywota to nie było... jako że się on chleb z wiórkami przewrócił. Ale to bajki—przykładałem kapuściane liście... I jeszcze mnie potem wysmarowały het całego, i ekonom też od siebie kropli kobieckich przysłał, to zara zażyłem i prócz tego wódki z gorącą tłustością, z goździkami i z miodem, jako że niby tłustość goi, goździki grzeją, a miód przenika na wskrós... I baby też piły, jako że zawdy w kupie weselej i choremu rozrywka i jako że się zdźwigały, boć zawdy chłopaka takiego jak ja na belkę, to, podług kobiecej siły, choć ich było ośm babów i, jako się rzekło, dziewczka dziewiąta, je ciężko... Po onem natrzęśnięciu, wielmożny konsylijarzu, leżałem znów musi bez cały tydzień, ale później

podniosłem się i niby krzywkę byłem lepszy, snać ona wątroba wlaźła na swoje miejsce... Tymczasem pojechałem oto ze zbożem do młyna i wpadłem w przerębel... Już to od tego czasu nie jestem jak trzeba; coraz to ciągoty, to dygotki, to łamanie, to po kościach bole nie, to kolki...

Et, co też znów pan konsyliarz chce?! Gdzieżbym ja takiemu panu znacznemu jęzor miał pokazywać! a dyć to nie pasuje... Ale... prozę wielmożnego pana... No, już skoro tak koniecznie... ale co nie pasuje, to nie pa suje...

Po doktorsku lewowany też byłem... Gdzie? Ano, juści na naszym jarmarku... Akuratnie wtedy gadzinów dwoje sprzedałem i cztery worki kartofli i naraili mi iść do Berka, niby do felczera. Zerznął mnie bańkami okrutnie i jakieści lekarstwo we flaszeczce dał... niby do picia... Piłem, ale nie wieleć i to nadało... Powiedział Berek później, coś we dwa tygodnie, że jedna choroba ze mnie wylazła, a druga zaś wlaźła... i że ta druga, to niby je frybra łamana i trzęsiona. Lichoć go ta wie, może i frybra... Chciał mi proszki dać, ale nie wzią-łem, bo się bestya okrutnie drożył, sam już nie wiedział, co chcieć za nie: i pieniędzy, i kartofli i kurę... Powiedziałem mu, żeby sobie sam zjadł swoje proszki, kiej takie kosztowne...

Już taki jak dostanie gospodarza do ręki, toby z niego żyły wszystkie chciał wypruć.

A na tę frybrę, wielmożny konsylijarzu, też lekowany byłem... a jakże... Ekonomowa, bardzo dobra kobieta ona jest, dała mi taką karcetzkę, żebym niby nosił kiele siebie, to od tego frybrę zgubię do dwóch tygodni — i byłbym może ozdrowiał, ale zgubiłem on karte-luszek, a ekonomowa drugiego nie miała, bo i sama dostała też kiedyś tam od kogoś znającego... Różne mi różności raili, i zioła suszone trojaki we wódce, i gotowane pod szpuntek, do picia przed wschodem słońca i po zachodzie słońca, i zamawiali i okadzali, i jeden żyd doradzał, żeby niby choć dwa razy w tydzień raka złapać, ugotować, na miazgę w stępie potłuc i jeść—próbowałem. A drugi zasie żyd rail, żeby nie raka, jeno oczy rako-we, a prawdziwie nie oczy, tylko te białe kamyczki, co w raku są, potłuc na proszek i w wódce pić—i to próbowałem... To znowu kazali miętę z piołunem pić—piło się; to zaś owczarz ze dwora, też znający człowiek, psi proszek mi dał... I jedno nadało, drugie nie nadało, a zawdy jakoś te ciągotki mam i dygotki mam, i w gorącość mnie wrzuca i po kościach precz łązi...

.

Wielmożny konsyliarz powiada, żeby głupim nie być i babów nie słuchać. A juści, żebym ja zdrowie jeno miał, tobym nie słuchał, ale tak, to się człowiek ratuje, jak mogąc...

To niby z tą karteczką do apteki i będzie sześć proszków... i kwaśnego nie jeść i tego nie i tego nie... Ano, dobrze, abym jeno spał... I za dwa tygodnie znowuj tu przyjsć. Ha... jak trzeba, to się przyjdzie... Niech będzie pochwalony...

Ale, jeszcze się chciałem dokumentnie o jedno wielmożnego konsyliarza zapytać... A juści, niby czy te proszki mają być na lekką śmierć? Olaboga! a dyć co miałem zwaryować? Nie zwaryowałem, jeno się pytam, bo doktorskie proszki zawdy niby od tego są... Ja się ta nie boję... Jak skoro trzeba umrzeć, to trzeba, skoro taka wola Boga miłosiernego i skoro tak ma być... Niech się wielmożny konsyliarz nie obraża: chłop od tego jest, żeby orał, a konsyliarze, żeby śmiertelne proszki dawali. A skoro bym wyzdrowiał, to też o wielmożnym panu nie zapomnę; znajdzie się jeszcze u mnie i garnuszek miodu i osełka masła i kurczęcina jaka... to się, aby we zdrowiu dobrem, wielmożnemu konsyliarzowi przyniesie...

BIAŁY KOŃ.



Wielmożny panie dziedzicu, to jest krótkie gadanie... Ja sobie jestem człowiek uczciwy, pachciarz; ja handluję z mlekiem, z serem, z maślanką; u mnie się i masło zdybie, i kurczęta, i kaczki, i jajki—wiadomo panu, jak w takim interesie pachciarskim... Kupię też czasem cielę, czasem barana, czasem trochę skórek; pojedę za dworskim interesem do miasta, załatwię sprawunki, jak pachciarz... aby żyć, aby handel szedł...

Ja wyjechałem, temu tydzień, do miasta na targ; wyjechałem sobie na noc, żeby jechać po chłodzie, pomaleńku, bo mój towar jest delikatny, nie lubi prędkości... Pogoda była; mój koń szedł pomaleńku, ja siedziałem na furze. Myślałem sobie o różnych interesach, robiłem

swoje rachunki. Zaraz za Wólką dogoniła mnie fura; zaprzężony był do niej koń Jankla Kacza, siwy koń z obdartym bokiem, co jego cała okolica zna. Jankiel Katz jechał i jeszcze pięciu żydków, samych młodziaków... Ja ich znam, ja wiem, że oni się niczem dobrem nie trudnią, i wiem, że to, czem się oni trudnią, nie jest nic dobrego, ale co mnie do tego? Niech oni robią, co chcą... Oni mnie dogonili, zagadali parę kilka słów; pytali, czy do miasta jadę, czy mam dużo towaru do sprzedania,—aby gadać... Ja im powiedziałem, że jadę sobie do miasta, że mam, Bogu dziękować, trochę towaru, i że na to kura grzebie, żeby miała ziarnko. Oni się śmieli, oni mówili, że kura głupia jest... Dlaczego głupia? — Dlatego, że szuka ziarnka w śmieciach, zamiast iść do śpichrza, gdzie ziarna leżą w wielkiej gromadzie...

Śmiali się i Jankiel Katz się śmiał; wymiñeli moją furę i pojechali bardzo ostro. Ja zostałem w tyle i myślałem sobie o tej kurze... Oni gadali mądrze; po co w śmieciach szukać tego jednego ziarnka, co może tam jest, a może wcale nie jest, kiedy w śpichrze leży cała fura gotowego ziarna? To jest mądre słowo, ale ja miarkowałem, że ta mądrość jest trochę niedobrego gatunku i... że dużo takich mądrych siedzi sobie w kryminale... Myślałem

o tem i usnąłem. Obudziłem się koło karczmy na Wygodzie; mój koń stanął... On ma swoje stacye przy każdej karczynie, bo kupiony jest od takiego chłopa, który jeszcze w swoim życiu żadnej karczmy nie ominął... Przebudziłem się, patrzę—Jankla Katza koń z wasągiem też stoi. Dałem mojemu koniowi siana. Wchodzę trochę do karczmy, do arendarza (on się Josef Pejsak nazywa i trochę nawet mój krewny jest...) wchodzę do karczmy, a tam gwałt... jak na jarmarku. Josef krzyczy, Josfowa krzyczy, Jankiel Katz i te pięć szajgeców krzyczą i sześć gęsiów też krzyczy...

— Co jest? — pytam się — co jest?

Jeden szajgec powiada:

— Sprzedajemy gęsi...

— Skąd wy macie gęsi, kiedy ja widziałem, że wasz wóz pusty był?...

A szajgec powiada:

— Panie pachciarz, wy patrzcie swoje mleko i swój ser i swoje ciele, co na furze, bo wam mogą przypadkiem zginąć...

On przytem popatrzył takim okiem, co od razu zrozumiałem, że lepiej nie być ciekawym i nie dopytywać o gęsi... Gęś jest gęś, a ja nie jestem wójt, ani sołtys, żebym miał kogo zaczepiać. Oj, proszę wielmożnego dziedzica, teraz jest taki świat, że najlepiej pilnować swego interesu i swoich drzwi, nie trzeba nic

widzieć, ani słyszeć, bo niewiadomo z czego może się brzydki trafunek trafić...

Krótko mówiąc, targ był skończony, gęsi sprzedane, a Jankiel Katz i jego pasażery napili się dobrej gorzalki, zapalili dobre cygara, po trojaku, i pojechali z wielkim turkotem. Choć Pejsak jest trochę mój krewny, ja go wcale nie zaczepiałem o te gęsi i on widać też się nie chciał chwalić swoim handlem, bo nic nie mówił, tylko obudził syna, kazał mu zaprządz do biedki i zaraz duchem zawieźć te sześć gęsi do rzezaka... Nie minął jeszcze kwadrans czasu, to już pejsakowa biedka turkotała po drodze... Ja się dziwiłem, na co taki pośpiech, ale nie gadałem nic. Na co ja miałem gadać? Ja sam byłem kontent, że mnie o nic nie pytają.

Tymczasem mój koń się napasł—zjadł całą wiąznię siana—napoiłem go i odjechałem. Josef mi na drogę dał radę; powiedział: „Wy się nie śpieszcie, Boruch; nie doganiajcie tych szajgeców, lepiej niech oni jadą osobno. Wasz interes nie pasuje do ich interesu, oni się lubią weselić, czasem zrobić jaką awanturę, co wam po tem? wy stateczny człowiek; wy sobie pachciarz, wasza zabawka mleko i cieleta.“

Josef miał rację; ja posлуchałem, ja nie śpieszyłem. Tymczasem, wielmożny panie, co się dzieje? Ja przyjeżdżam do Brzozowa. Jankla

fura stoi przed karczmą; stoi też fura jednego gospodarza z Brzozowej Woli... bułany koń, wart najmniej sto pięćdziesiąt rubli... Chłopa przy furze niema; zwyczajnie jak chłop—woli siedzieć w karczmie, niż przy wozie. Z tych pięciu szajgeców jeden stał koło karczmy przy oknie, drugi leżał na furze, a trzech siedziało pod studnią. Ja myślę sobie, że Josef próżno nie gadał, żeby z nimi kompanii nie trzymać, więc nie stałem nawet dziesięć minut — pojechałem w drogę dalej... Tylko wjechałem w te krzaczki, co się za Brzozowem zaczynają, słyszę wielki galop... Przeleciał ktoś koło mnie na bułanym koniu... Kto? Co mi do tego? Niech sobie leci, niech szyję złamie, kiedy mu tak pilno... Zaraz potem, bardzo niedługo, słucham, znów wielki galop; pędzą na koniach chłopcy, może sześć, może osiem, krzyczą: „Trzymaj... trzymaj!“ Akurat, ja głupi trzymać, niech oni trzymają rozpalone żelazo w garści... Odjechałem trochę na bok... oni przelecieli. Gdzie? Albo ja wiem? ciemno... Ale byłem trochę ciekawy... zawsze to jest nie mały interes: ten bułany koń, na moje oko, sto pięćdziesiąt rubli jest wart... Popędziłem konia, słyszę gwałt, krzyk, bitwa, cała awantura... Wjechałem w sam środek awantury... Chłopy już mają bułanego konia i mają szajgeca... Oj, wielmożny dziedzicu, co oni jemu nabili... takie chamy!

Ręce mają jak z żelaza. Pfe! Na co z nimi wojować? Ja zamknąłem oczy, zatkałem uszy, ja chciałem zaraz jechać dalej... Nie lubię patrzeć, jak kogo boli, nie lubię, jak kogo biją... Niech naszych wrogów biją... Chcę jechać, tymczasem chłopci nie puszczają...

— Boruch — powiadają, — zawracaj, będziesz świadek.

— Na co mam być świadek? Ja nic nie widziałem, mnie pilno na targ... Wiecie, że teraz noc: ja, Bogu dzięki, nie jestem sowa, żebym widział po nocy!

Chłopy wołają:

— Jak nie chcesz dobrowolnie, to pojedziesz gwałtem.

Ja mam taką naturę, że gwałtów nie lubię; zawróciłem dobrowolnie.

— Czekaście-no, Boruch, włożymy wam na furę ciele...

Oni włożyli mi ładne ciele — skrępowanego szajgeca! Nie mogłem słuchać, jak on jęczał; mnie serce bolało, a on tak ciągle jęczał po żydowsku:

— Oj, oj, reb Boruch, mnie bardzo koło lewej kieszeni boli, mnie tam gniecie; wyjmijcie wy z kieszeni co jest i rzućcie w rów... żeby chłopcy nie widzieli...

Ja wyjąłem... Pyta się pan, co tam było? Albo ja wiem? Jakieś żelazne instrumenty... Puściłem to w rów — chłopci nie słyszeli.

Przyjechaliśmy do Brzozowa, prosto do gminy, do wójta. Jadąc koło karczmy, zobaczyłem, że Jankła Katza fura jest bez konia... No, no, myślę sobie, dobrze, że choć moja fura jest z koniem. Widać teraz na konie niedobre powietrze jest...—Wójta akurat nie było, tylko pisarz. Jemu się bardzo spać chciało, co się nie dziwić—sama noc, pierwsza godzina... Pisarz kazał młodego żydka zamknąć do kozy i postawić wartę, a bułanego konia zamknąć do obórki i postawić dwie warty.

— A co ze mną — mówię — będzie, panie pisarzu? Mnie się śpieszy na targ...

— Nie bójcie się — powiada; — poczekajcie do rana, tylko się napisze protokół i możecie sobie jechać, gdzie wam się podoba; przecież wy nie złodziej, tylko świadek... Teraz — powiada—nie mogę pisać, bo mnie mocno głowa boli (ja wiem, on bardzo lubi herbatę z arakiem), a po drugie — powiada — mnie braknie nafty, nie mam przy czem pisać.

Ja dałem słowo, że poczekam do rana. Zajechałem przed karczmę, dałem koniowi siana, sam położyłem się na furze i chciałem spać. Nie mogłem... tyle miałem zmartwienia tej nocy... więc słuchałem, co się dzieje. Najpierw

ci chłopi, co złapali szajgeca, pili sobie na uciechę, że im się tak dobrze udało; gospodarz z Brzozowej Woli, ten, co jego bułany koń, fundował. Dobrze chłopi pili i prędko pili i poszli spać... Ja też cokolwiek sobie zdrzemnąłem, ale uważałem, że koło pustej swojej fury chodzi Jankiel Katz i kilku szajgeców, że oni coś gadają, że ciągle słysząc „Abuś, Abuś...” właśnie ten, co w kozie siedział, miał na imię akurat Abuś. Ja już zasypiałem, tymczasem Jankiel Katz trąca mnie w bok i powiada:

— Słuchajcie-no, Boruch, wy macie dobrze pamiętać, że dzisiejsza noc to jest bardzo ciemna noc. Jak wy to dobrze sobie zapamiętacie, to wam nigdy nic z fury nie zginie, ja wam za to zaręczam.

Dlaczego ja nie miałem przyjąć takie pewne zaręczenie? Jankiel Katz jest bardzo słowny człowiek, on nie oszuka... Przyjąłem... powiedziałem:

— Słuchajcie, Janklu, już dużo lat żyję na świecie, a jeszcze takiej ciemnej nocy, jak dzisiejsza, nie widziałem...

Nie darmo ludzie mówią, że dla mądrej głowy dosyć jest pałką w łeb. Ja byłem już zmęczony—zasnąłem naprawdę. Obudziłem się, jak słońce dobrze plecy mi przypiekło. Wołają do wójta, ma być protokół; dobrze, niech sobie będzie protokół. Ja idę śmiało, nie boję się.—

czego mam się bać? za co? Najpierw piszą całe „megile,“ jak gonili, jak złapali bułanego konia, a na nim Abusia Gelbwassera... Pytają się mnie:

— Czy widziałeś, jak Abus jechał na bułanym koniu?

Ja mówię:

— Ktoś jechał na koniu, ale noc była ciemna... ani człowieka, ani konia nie mogłem poznać... Widziałem tylko, że koń był pod spodem, a człowiek na wierzchu.

Zapisałi moje słowo. Pytają chłopów—oni wszyscy chcą przysięgać, że koń był bułany. Okropnie-bo chłop prędki do przysięgania.— jabym się bał. Pytają Abusia:

— Tyś ukradł bułanego konia?

On powiada:

— Panie wójcie, to jest rozbójstwo! Ja mam połamane ręce i nogi, ja jestem pokrwawiony, ja jestem chory, ja jestem zabity. Te chłopcy mnie zamordowali, ja żądam protokół.

Wójt pyta go znów, dlaczego on ukradł bułanego konia, na którym go złapali? Abus zaczął krzyczeć: Gwałtu! On w swoim życiu bułanego konia nie widział, on nawet nie rozumie, jaka to jest maść; on jechał na białym koniu, z obdartym bokiem; tego konia zna cała okolica, to jest koń Jankla Katza, który może poświadczyć, że go w pilnym interesie

pożyczył. Chłopi wrzeszczą, że Abuś kłamie, że koń, na którym go złapali, jest zamknięty w obórce przy kancelaryi... Wójt każe przyprowadzić tego konia—idą wszyscy na podwórze, wójt idzie i ja idę. Otwierają obórkę i wyprowadzają... wielkiego białego konia z obdartym bokiem! Jankla Katza koń, biały jak perkal; kto go nie zna? Chłop z Brzozowej Woli przeciera sobie oczy, jakby ze spania, i pyta:

— Gdzie mój bułany koń?

Wójt też pyta:

— Gdzie jest bułany koń?

— No, gdzie on ma być? Chłop się upił, zdawało mu się, że już jest w domu i wyprzągnął konia... a koń pewnie nie był pijany i poleciał do domu. On pewnie w Brzozowej Woli jest—woła Abuś; —niech pan wójt poszle to sprawdzić i każe pisać protokół, bo ja chcę mojej krzywdy dochodzić sądownie. Czy wolno złapać człowieka na gładkiej drodze, ściągnąć go z konia, zbić, zakrwawić, związać, całą noc w zamknięciu trzymać? Ja —powiada Abuś— chcę protokół, ja zaskarżę tych chłopów, oni za moją krzywdę tysiącami zapłacą...

Chłopi zaczęli spoglądać jeden na drugiego i drapać się po głowach, a Jankiel Katz przysunął się do jednego i powiada mu na ucho:

— Wojciechu, ja wam radzę, wy się z tym żydkiem pogódźcie, bo on was może zgubić... on was całkiem zgubi, jak zaskarży o rozbój...

Chłopi zaczęli między sobą radzić; radzą, a tymczasem wójt posłał do Woli, żeby sprawdzić, czy bułany koń jest. Niedaleko, wiorsta drogi. Za pół godziny przyprowadzili bułanego...

Wójt pyta:

— Gdzie był?

— Był na pastwisku.

To już było całkiem jasno, że Abuś miał krzywdę. Zaczął wójt pytać mnie, jak to było: na jakim koniu Abuś uciekał? Ja powiadam:

— Panie wójcie, już trzydzieści dwa lata jestem pachciarzem, jeżdżę z mlekiem, z cielętami, z różnym delikatnym towarem po nocach, ale takiej ciemnej nocy, jak dzisiejsza, ja jeszcze w życiu mojem nie widziałem... Pyta się pan wójt, co ja wiem? Ja to wiem, że nic nie wiem; naprawdę, nawet nie wiem, po czemu dziś masło, bo mnie tu zatrzymali i nie byłem na targu: ja jestem grubo stratny na tym interesie.

Abuś wrzeszczy o protokół, Jankiel radzi zgodę. Pisarz, sam pisarz powiada, że lepsza będzie zgoda... Więc wszyscy poszli do karczmy godzić się. Ja też poszedłem — raz, że byłem ciekawy, jak się ten kram skończy, a po drugie, że i mnie się należało coś przy tym

interesie zarobić. Przecież spóźniłem się na targ, byłem dużo stratny. Klektali do samego wieczora, nareszcie skończyli. Jak skończyli i chłopci odeszli, to się zrobił znów obrachunek. Mnie Jankiel Katz dał cztery ruble papierkami i pół rubla miedzią i powiedział to słowo:

— Wy sobie pamiętajcie, Boruch, że noc zawsze jest ciemna i że ten koń, co się w nocy zdawał bułany, w dzień może być biały jak perkal, jeżeli się zgrabnie koło tego interesu zakręcić.

Ja to pamiętam, ja będę pamiętał; dlaczego nie mam pamiętać? Mądre słowo to jest jak list zastawny — czasem można od niego odciąć kupon.

Niepocieszony Wojtek.

Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego



Rzecz dzieje się w karczmie. Wojtek siedzi przy stole zapłakany, z głową wspartą na rękach.

Oj! pochowali ci ją, jagodę, Magdusię moją. pochowali! Zasykali ziemią niebogę, a ja sam zostałem na tym świecie. Sierota! Sam jeden, jak kołek w płocie, zgorzkniały, jako ten chrzan, co w polu rośnie... Oj, dolo, dolo moja! Jak tu żyć na świecie przez kochania, przez jadła i przez opierunku! Ni się z kim przemówić, przekomarzyć... ni... ni nic. Psu lepiej żyć na świecie, niż mnie, sierocie biednemu! Powiadacie, Mošku: „trza wypić“—i wy kumie, Pietrze, mówicie, że potrza, i wy, stryjno Jagato, rzekliście: „napij się, Wojtusi...“ Ha, dajcie Mošku kwartę! Niech ta! Robak we człowieku siedzi i wierci, a w chałupie

dziecisków troje! a w obórcie ogonów pięcioro!
a w chlewie gadziny dwie i wieprzak; a lnu
dwa zagonki, a konopi zagon i to wszystko
nic nie gada, jeno lamentuje i płacze: „niema
naszej gosposi! niema naszej gosposi! a kto
nam żreć da? kto nam pod gębę podetka? kto
nas, sierotki biedne, napoi, nakarmi, wydoi?“
Jedno ci ryczy, drugie piszczy, inne kwiczy,
a po mnie żalność chodzi, niby ból po kościach.

Oj, kumie, kumie, sprawiedliwie powiadacie,
jako nic nie rozłączy męża od żony, jedno ry-
del a motyka; rozłączyła mnie ona z Magdusią
moją, rozłączyła! A żyliśmy we zgodzie i spra-
wiedliwości, jako mąż z żoną. Bywało, żem
ją nieraz zeprał na kwaśne jabłko, bo od tego
mężowskie prawo, ale zawdy z kochaniem to
prawo było, bom jej nigdy ani zęba nie wybił,
ani oka nie naruszył, ani najmniejszego gnatka
w niej nie przetrącił... I ona, chudziaczka,
bywało nieraz, jakem się, na to mówiący,
w karczmie upił, to ona, chudziaczka, chociaż
i przy ludziach, nic nie pyta, jeno z pazurami
do mnie, jak kocica, i nieraz mi się wpiła we
włosy jak, nie przykładając, kleszcz w owcę,
albo żypie w bydlęcy ogon... Mocna to ko-
bieta była i na grosz chytra i w kochaniu za-
wzięta. „Ślepię ci—powiada,—Wojtku, wydrę,
gębę ci podrapię, cały łeb z wełny oskubię,
jak się będziesz upijał i grosz po karczmach

tracił.“ Inny ksiądz z ambony tak dokumentnie nie przetłómaczył, jak ona; a niechnoby zaś kto na mnie co powiedział, oj, dałaby mu ducha, nie zważając na osobę... Niema cię, Magdus moja, oj, niema, a ja przez ciebie sierota i jako kaleka przez ręki i przez nogi, a sprawiedliwie to i przeze łba, bo ani ja chodu, ani ja roboty, ani pomysłunku żadnego (*placze*). Powiadacie, Janowa: „nie płacz, Wojtek...“ a juści, nie mam płakać! A kto mnie, biedakowi, i dzieciom moim, sierotkom, jeść ugotuje? kto krowiny wydoi? kto gadzinie zielska usieka? kto kiele chałupy? kto kiele ogrodu? kto naprzędzie? kto utka? kto uszyje? kto do pielenia? do grabi? do sierpa? do motyki? do pieca wylepienia, do izby wybielenia, do chleba upieczenia? kto w żarnach zmiele? kto podsieje? kto barszczu nakwasi? kartofli naobiera? kto kiele kapusty? kto len zbierze, kto go wymoczy, wysuszy, wymiędli? Już mnie chyba albo do lasu pójść z postronkiem... albo grzdykę sobie kosą poderznąć, albo we wodę skoczyć, albo też sobie śmierć zrobić! (*Po chwili*). Grzech, powiadacie, kumie a juści grzech. Panie miłosierny, odpuść... Powiadacie, kumo, że babów na świecie dość — toć prawda... Dziewki łążą po świecie jak muchy, a każda za chłopem jak za miodem; dość niby się wstyda, a żeby jeno palcem kiwnąć, to już się do wesela

sposobi... Prawda i to, ale jak koń koniowi, tak baba babie nie równa. Insza będzie insza, a insza znowu inaksza, zaś mało która jak się patrzy...

Ej! Mošku! jeszcze dajcie kwartę, bo już z tej żałości w gardle zaschło i język zdębiał jak podeszew... Pijcie, kumowie, krewne i przyjaciele, na zdrowie, pijcie, nie żałujcie, niech ta nieboszczka wie, żeśmy ją sprawiedliwie oplakali, żeśmy ją nie suchą gębą wspominali.

(Po pauzie).

Janowa mówi, że niby Zośka Pędraczanka... Juści, niby krów będzie miała dwie i gruntu po ojcach ze cztery morgi... Nie, nie chcę! Latawica jest i zęby szcerzy, jak szkapa na pastwisku. Nie chcę ja takiej... Walkowa zaś, po Walku Dzieciole wdowa, kobieta letnia, na matkęby mi prędzej pasowała... Juści ta podobniejsza niż Zośka, bo jej grunt akuratnie przy moim, a ta łączka jej, co klinem w dworskie wchodzi, to już do nocnego szkapy pasienia jak na urząd dowodna... Pytacie tedy— „i czegoj?” a juści „czegoj?” Toć synów ma trzech, mało ode mnie młodszych, a choć po ojcu grunt już wzięli, o matczyne życie nie byłbym pewny... Nie namawiajcie: na wszystko bym przystał, na lata — bajki, baba nie koń, nikt jej w zęby nie będzie zaglądał; na urodę—

też bajki, juścić jej pewnie z pięćdziesiąt patrzy, ale babsko obsadne jak dzieża, za dwie młode podźwignie; że krzynkę napija, to też bajki; spralbym rzetelnie raz i drugi—oduczyła-by się; jeno już tych synalków nie chcę. Juści ożenić się trzeba, ale skoro mój taki los, to zawdy wolę z jedną babą ślub wziąć, niżli z trzema chłopami... Oj, Magdusiu, moja Magdusiu! bez co że ty pomarłaś i bez co na taki czas pomarłaś, kiedy właśnie robota największa w polu i w ogrodzie i kiele chałupy! Z sercem bolejącem i z żałości dusznej, po sprawiedliwości, jako oto przy tej kwarcie siedzimy, dopraszam się grzeczności waszej, kumie Janie, i waszej, kumie Pietrze, idźta zaraz dziś z flaszką do Grochala Marcina, gospodarza naszego i sąsiada. Ma ci on córkę Baškę, niechże mi ją podług stanu małżeńskiego za żonę da—i żeby zaraz w niedzielę zapowiedzi wyjść mogły, bo już mi się ckni z onej żałości dusznej i podług dobytku opatrzenia. Nie uważam ja, że Baška na jedną nogę utyka, boć baby do brony, ani do woza nie zaprzęgnę; nie patrzę, że krzynkę zawiedła i że jej na gębie dyabeł groch młócił; jeno wymówcie u Marcina te dwie jałówki graniaste i wieprzaka czarnego i gruntu, żeby Bašce odpisał zara u regenta, siła jej się patrzeć będzie, podług działu z ojczynego i matczynego. Obrachowałem ja ci, choć i w żałości

mojej, że powinno być bez mała czego pięć morgów. Nie tak mi o ten grunt chodzi, bo ja na majątek nie chytry, jeno chciałbym tych zagonków, podług żalu mojego owdowiałego, żebym miał chociaż czem oczy obetrzeć.

Powiadacie: „prawdziwie;“ prawda, juści nieco, ino prawda prawdziwa i sprawiedliwa. Hej, Mošku, jeszcze kwartę gorzałki! boć pan młody funduje, a na wesele szykuj z dziesięć garncy, bo choć cierpię w sercu, ale zawdy gospodarskie wesele przez poczęstunku nie będzie. Muszą ludzie pić, tańcować bez trzy dni, żeby pamiętali, jako nie byle kto, ale Wojciech Mucha, gospodarz sprawiedliwy, z gospodarską córką się żeni. Prawda, kumie?! Dyc sami powiadacie, że prawda... Będziemy tańcowali na weselu, aż drzazgi z podłogi się posypią... Ej, dolo, dolo moja, losie zatracony! A ty, Mošku, muzykantów sprowadź z miasta, żeby grali pięknie — i piwa beczkę i gorzałki, żebyśmy się weselili jak się patrzy...

Oj, Magdusiu, Magdusiu, po cóżeś ty pomarła i bez to na takich godach nie będziesz!? i nie zobaczysz już swego Wojtka, jak będzie z Bańczynych zagonów snopki do stodoły wozik... Na przekorę ty mi zrobiłaś, kobieto... ale zawdy... zawdy... mi ciebie żal, Magdusiu!

MOJA SZLACHTA.

WIOSNA 2014



Kupiec zbożowy z małego miasteczka, otyły; kapota za kolana, buty długie, czapka aksamitna, kamizelka także, gruby łańcuch od zegarka.

Moja szlachta, ładny gatunek ludzi, bardzo ładny gatunek! Państwo powiadacie, że człowiek jest człowiek i nie ma żadnego gatunku. Ładne gadanie! Wrona jest ptak, gęś ptak i bocian ptak, a przecież wrona a gęś to wielka dyferencya... I między ludźmi tak samo... chłop co innego, żyd co innego, szlachcic co innego.

Nie potrzebuję opowiadać wiele, kto ja jestem i jak ja się nazywam — wszyscy znają mnie dobrze: czy hrabia, czy ekonom, czy prosty Maciek, czy taki nawet mały bachor, co w śmieciach grzebie, wie, kto jest Chaim Piernik z Odrzykoniał

I to każdemu wiadomo, że ja handluję zbożem, że mam moją szlachtę; nie chwałąc się, dwanaście sztuk bardzo piękne i wspaniałe panowie. Oni mnie sprzedają zboże... w zgodzie, kłótni, czasem w procesie, ale zawsze w handlu, bo ja z nimi umiem delikatnie wychodzić.

Na przykład raz, pan Bajdalski, bardzo gwałtowny szlachcic, rozgniewał się na mnie przy sprzedaży pszenicy. On chciał po siedem rubli, ja jemu dawałem po sześć; on się bardzo rozgniewał i krzyknął:

— Słuchaj, ty stary łajdaku! (w przyjacielstwie to się czasem takie przyjemne słówko usłyszysz), żeby mi inny dawał po pięć i pół, to mu sprzedam, a tobie, cyganie, nie sprzedam!! Idź do wszystkich dyabłów i żebyś cię tu więcej nie widział!

Inny na mojem miejscu toby sobie zabrał i poszedł; ja poleciałem do Odrzykonja jak ptak, dałem jednemu młodemu żydkowi pieniądze, wsadziłem go na biedkę i kazałem mu jechać galop, zanim pana Bajdalskiego złość ominie... Żydek zdążył na czas; szlachcic się jeszcze nie wysapał, jeszcze był zły jak lichy... W trzech słowach skończyli na pięć i pół; żydek kupił dla mnie trzysta korcy pszenicy, a kiedy odjeżdżał, to pan Bajdalski jeszcze wołał za nim z ganku:

— Powiedz temu szelmie Chaimowi, żeś kupił, i powiedz mu, po czemu kupiłeś, niech go serce zaboli z zazdrości!

Taki jest zawzięty. Bogu dziękować, na serce byłem zdrow, a jeśli mi cokolwiek pikało, to z kontentności, że zrobiłem niezły interes. Pszenica była moja, a tamten żydek zarobił za fatygę.

Handel zbożem to jest ciężki kawałek chleba, to jest taka wielka praca, że człowiek sam nie wie, jak ma nazwać to ciężkie życie. Jest pfe!... Nie dużo powiem i nie mało powiem, dość jedno słowo: pfe! Najczęściej to się robi na zielono. Jak pragnę szczęścia, już mam pełną głowę tej zieloności—czasem to mi w oczach zielono, w uszach zielono; myślę nawet, że i w sercu zielono. Kupuje się to, co jest na polu, i to, czego jeszcze niema na polu, i to, co ma dopiero być na polu. Ładny towar, coś fein!

Kupuje się na kontrakt, na termin, targuje się o termin, kłóci się o termin. No, jak państwo myślą, co to jest ten termin? Ja wiem naprzód, że termin nie będzie dotrzymany, i tamta strona też wie, że nie dotrzyma termin, więc po co pisać? Po prostu tylko formalność dla sądu. Sąd lubi, aby w kontrakcie stał termin, i przez to termin musi stać... Ja kilka razy do roku jestem chory; raz doktor

powiedział, że mam zapalenie od płuca, ale on się omylił — to było rzepakowe zapalenie, zielone! To jest paskudne ziarno, a w tem największa jego paskudność, że na rzepak zawsze muszę pieniędzy dać. Może się komu zdawać, że w handlu niema przymusu, chcę kupić — wolno mi kupić, nie chcę — wolno mi nie kupić... To nie prawda; rzepak ja zawsze muszę kupić, bo rzepakowych pieniędzy moja szlachta potrzebuje na żniwa; jak nie dam pieniędzy, to oni nie zrobią żniwa; a jak nie zrobią żniwa, to skąd ja odbiorę moje zbożowe zieloności?! Skutek taki, że muszę dać, choćbym nie chciał.

I tak co rok. Jak przyjdzie do odstawy, to też jest smak. Raz było takie zdarzenie, że jeden szlachcic obiecał mieć żyto na 15 grudnia; miałem zabrać sto korcy. Przyjechałem z furmankami; tam czekał już Icek, który miał też umowę na 15 grudnia i także na sto korcy; ledwie zszedłem z fury, przybył Abram, także po sto korcy...

Kto je miał zabierać? Icek, Abram, czy ja? Nie potrzebuję opowiadać, że zrobiła się mała kwestya; a że Icek jest bardzo duży człowiek i mocny awanturnik, więc zrobił Abramowi siniak koło oka, a mnie (żeby mu głowa spu-chła!), potargał brodę.

Z wielkim gwałtem poszliśmy do dworu: co będzie?! Myśmy krzyczeli, a szlachcie się śmiał i powiada:

— Panowie nie macie się o co kłócić, ja was pogodzę; chodźmy do ogrodu.

— Na co do ogrodu? czy 15-go grudnia jest w ogrodzie groch, albo cebula?

— Ale chodźcie.

Poszliśmy... On kazał postawić na słupku kółko z papieru, wyciągnął z pod paltota pistolet. Słyszał kto? pistolet!

— Fe! co pan zabójstwo chce robić?

— Nie — powiada, — ja chcę was pogodzić. Strzelajcie do celu; kto trzy razy trafi, weźmie żyto; kto nie trafi, będzie czekał, aż się wymłóci.

My zrobiliśmy krzyk.

— Strzelać? Co to jest strzelać? w kontrakcie nie stoi, żeby my wystrzelili... niech pan schowa to paskudztwo; to rozbój jest, to gwałt!

Ja tak wołałem, bo ja jestem odważny, a tymczasem Abram i Icek uciekli z ogrodu, więc zmiarkowałem, że i ja potrzebuję uciekać i uciekłem, wcale nie daleko — do pachciarza.

Abram i Icek już tam siedzieli, bardzo osłabnięci ze strachu, i pili wódkę na wzmocnienie. Ja też osłabłem i trochę się napiłem. Icek ciągle przeklinał, a Abram powiedział, że robi

kryminalną sprawę. Pachciarz radził nam, żebyśmy byli spokojni.

— Jakto spokojni, jeżeli on nam zamiast żyta daje pistolet i każe wystrzelić? Co to za moda jest?

Pachciarz obiecał pójść do dworu rozmówić się i zrobić interes dobrze; żądał za to niewiele: pięć procent od tego, co my zarobimy na pistolecie.

Na pistolecie? alboż można co zarobić na takiej maszynie? Pachciarz mówi, że żydek powinien na każdej maszynie zarabiać. On bardzo mądre słowo powiedział... myśmy istotnie zarobili. Każdy z nas, Icek, Abram i ja, dostaliśmy gotowego żyta trzecią część stu korcy, prócz tego, wszyscy we trzech mieliśmy zabrać dwieście korcy w styczniu, z tym warunkiem, że nie będziemy przymuszeni do strzelania i prócz tego, do współki we trzech, kupiliśmy wełnę, też na zielono. Kupiliśmy wcale nie drogo i prócz tego dostaliśmy za przestraszenie od pistoletu po parę korcy kartofli. Pachciarz miał rację—czasem i z pistoletu może być zysk, tylko trzeba umieć handlować.

Nasz zbożowy proceder jest ciężki, trzeba mieć do niego mocne zdrowie, dlatego, że często daje zmartwienie. Ja martwię się, gdy jest za sucho w polu, ja cierpię; gdy grad pada; mnie serce boli, kiedy zboże leży na garściach, a deszcz na nie chlapie; ja bardzo nad tem

cierpię, więcej cierpię, niż sam szlachcic; a dlaczego ja więcej cierpię, to jest prosty rachunek. Każdy obywatel cierpi za siebie, każdy się martwi o swoje zboże, a ja mam dwunastu obywateli i przez to dwanaście razy tyle cierpię, gdyż ich zboże to moje zboże. Czasem nawet muszę jednym okiem śmiać się, a drugim płakać. Jeżeli dostanę na przykład wiadomość, że we Wroniej Wólce ślicznie zboże sprzątnęli, a w Sowiej Wólce był grad, wtenczas ja mam w sercu i radość, i boleść, i wesele i smutek — cały magazyn!

Ludzie myślą, że ze zboża są wielkie zyski. Wcale nie; tyle tylko, że się cokolwiek żyje. Ja tu mam przy sobie kontrakt na pięćdziesiąt korcy pszenicy, a on nie jest wart jednego worka plew. Dzierżawca, który mi tę pszenicę sprzedał, zbankrutował i uciekł, i ja już nie widziałem więcej ani dzierżawcy, ani mojej pszenicy, ani moich pieniędzy—przepadło! Niech on tak przepadnie, gałgan jeden... Państwo powiadacie, że nie wszyscy obywatele są bankruci. To prawda, ale ci, którzy nie są bankrutami, wcale nie chcą z nami handlować. Oni mają stosunek z wielkimi kupcami w Warszawie lub Gdańsku, a o nas mówią, że jesteśmy paskudne faktory i łapserdaki. Dla nich my łapserdaki, a dla bankrutów Rotszyldy, więc handlujemy z bankrutami. Ale to już koniec,

na moje sumienie, koniec — ja się zarzekam całkiem tego interesu. Zdrowie straciłem, jestem ciągle niespokojny i przestraszony, mam zielono w głowie, w oczach i w sercu... Ja się zarzekam, ja będę czem innem handlował, choćby mydłem, albo smołą. Tylko trzeba zakończyć... Jak zakończyć? Chcąc odebrać jedno zielone, trzeba dać na drugie zielone... a drugie też nie może przepaść, więc trzeba dać na trzecie... potem na czwarte... Taką naturę ma nasza handlowa zieloność. (*Wydobywa z kieszeni list*). Ten papier otrzymałem dzisiaj i na całą noc muszę jechać. Gdzie jechać? — Do Wólki. Po co jechać? — Kupić partyę zboża.—Jakiego zboża?—Też zielonego... Zarzekałem się, że już nie kupię... Dlaczego nie mam kupić? — kupię. Czy to jest zły interes? On wygląda bardzo źle... ale w sekrecie mogę powiedzieć, że on jest czasem bardzo dobry.

SZYMON ORATOR.

BYRON O'NEILL



Szymon, dziad kościelny, chłop krępy, z czerwonym nosem;
kapota siwa, pas włóczkowy zielony, czapka barania,
rogata, w ręku wielka laska.

Moje dobre ludzie, nie bajcie aby... Nie
każdemu Pan Bóg miłosierny jednako-
wych darów udzielił, i jako widzicie przy psie
ogon, przy ptaku dziób, a na to mówiący, przy
żydzie jarmułkę, tako i w naszym stanie—jeden
będzie chłop mocny w krzyżach, że półtora
korca grochu podniesie; inszy silny w nogach,
że go i garniec wódki nie zwali; a trzeci zasię
edukowany w gębie, że z niej słowa lecą, niby
kluski ze skwarkami, okraszone mądrym sen-
sem, który, jak woda ze studni, bywa z książki
albo z czego innego, a najbardziej ze swojego
rozumu i kadencyi.

(Wydobywa rożek z tabaką i zażywa powoli).

Siedzi was tu, na tem weselu w karczmie, siła chłopów i babów, ale żadne z was trzech słów godnie do kupy nie złoży, żeby się trzymało w podobieństwie, a pewnie żadne nie wie, co znaczy „egzoltabunt,” albo „haspergesme,” choćby mu wszystkie zęby powybijał...

Wam, Walentowo, ujadać nie pasuje, bo wiadomo, że baba młyn przekrzyczy; ale co innego krzyk, a co innego mowa. Lata inszej niewieście język jako pytel, to prawda, ale z onego pytlowania nic. O, ludzie, tu zgromadzone na weselu! posłuchajcie, jako przemówię do was, jeno mi dajcie kwartę do ręki, iżbym zabił suchość gardła, bo od gorącości serca schnie ono prędzej, aniżeli płótno na słońcu, niż len na piecu, aniżeli trawa na pokosie przy letniej skwarności...

(Przerywa i pije).

Ożenione ludzie! Ty, Janie Kielbiku, i ty, Kunegundo Mietliczanko! które oboje z gospodarskich rodów idące, pobłogosławione i poślubione dopiero co jesteście! Ty, Janie Kielbiku, i ty, Kunegundo Kielbikowo, jać to, a nie kto inny, posługiwałem wam przy chrzcie świętego obrządku; ja zapalałem świece przy ołtarzu dla poślubienia waszego, ja wam też, a nie kto inny, groby pokopię na cmentarzu, że sobie kiedyś będziecie leżeli w piasku, niby na

pierzynach; a choć nie wiadomo, które pierwej, ale zawsze ten was koniec spotka, bo śmierć chodzi po świecie jak lew i, choć nie ryczy, ale zawdy szuka kogo do pożarcia.

Słuchajcie tedy, Janie i Kunegundo, i rodzice, i krewne, i przyjaciele i gospodarze zgromadzone; bierzcie słowa moje do duszy, niby do torby, bo i słowo jest jak obrok, jako owies ze sieczką.

Ty, Janie, w dobrej zgodzie i przyzwoleni-
stwie rodziców, pojąłeś na małżonkę tę oto
Kunegundę i znajdziesz w niej gruntu morgów
trzy, urodę, sprawiedliwość, dwie krówska,
czworo owieczek, dwa podświnki, posłuszeń-
stwo, jako ci zaprzysięgła, i miłość, i wierność,
i statki domowe, i chusty porządne i szmaty
zdrowe, pościel i co sobie jeno sam załadasz.
Zgrzeszyłbyś, gdybyś urągał, żeś skrzywdzony,
bo i ślepy namaca, że dziewucha z mięsa i z pie-
rza i zabudowana niezgorzej, bo pół obory
ojcowskiej na nią idzie i chlewik, i przytem
w sobie silna, roboty nie bojąca, zębów nie
szczyrząca, i skromna niby owa gąska, co siódme
gąsięta już wodzi, a jeszcze się wstydzi niebo-
ga. (*Zażywa tabakę i ocięra pot z czoła*). Ty
zasię Kunegundo, po ojcach Mietliczanko, po
mężu Kielbikowo, dostałaś chłopca nie ułomka,
a w nim gruntu morgów trzy, jako i przy to-
bie, i koni parę, i bydła dwoje i podświnków

coś trzy, że które was oto, do kupy zgromadzone, przy dobrem kochaniu, gnatów nie przetrąceniu, oczów nie wybijaniu i zabiegliwości, mogą was na znacznych gospodarzy wyprowadzić i pociechy z dzieci dadzą wam doczekać, jako i inszego przychówku przy mnożenia. I to sobie bierzcie na uwagę, Janie, że Adam, rodzic nasz pierwszy, bez babę zginął.

Miał posiadzialność w raju, gruntu—ile chciał, była—więcej niż widział, na czyjem jeno chciał—to pasł, gdzie mu się uwidziało rąbać—to rąbał, szarwarku nie odrabiał, do gminy na stójkę nie chodził i byłby na dzisiejszy dzień tak siedział, gdyby nie babska ciekawość.

I wszystko przez kobietę, właśnie przez Ewę postradał, jako że się chytremu wężowi skusić dała. Taką sobie szkodę w gospodarstwie i w majątku i spokojności Adam, rodzic nasz, uczynił, nie przez co innego, jeno przez to, że słamazarny był i, Panie mu odpuść grzechy, niedorajda.

Żeby był Ewę w posłuszeństwie utrzymywał i, jak potrzeba, co twardego do ręki wzięwszy, przetłómaczył jej po plecach, toby go się bała i w żadne szachrajstwa z wężem nie wchodziła. To sobie tedy, Janie, zapamiętaj i żonie twej, Kunegundzie, zapowiedz.

Bez przekleństw, bez kości przetrącania, bez oka wybicia, godnie, jak w świętym stanie małżeńskim przynależy, przetłómacz, gdy potrzeba, czy to rzemieniem, czy biczyskiem, albo choćby i pięścią — tylko politycznie, nie jak inne chłopcy, co lada o co zaraz za cepy, albo za hołobłę!

I ty, Kunegundo, to dobrze zapamiętaj, że jest mężowskie prawo i jest żonine — i że ty, gdybyś widziała, że mąż traci grosz, że za wiele pije, albo insze jakie rzeczy czyni, które nie powinien — też przetłómacz mu niekiedy.

Jeno nie perswaduj jak one czarownice, co zaraz do oczu z pazurami, albo garnek ukropu na łeb chlustające, albo-li gorejącą głownię z kominą chwyciwszy, że może całe obejście z dymem puścić; jeno jakim delikatniejszym statkiem, jak na ten przykład, kosiorem, czy łopata, czy miotłą, a choćby kopyścią, albo pięścią tłómacz, gdyż w tym stanie małżeńskim zawsze przywiązalność i poszanowanie być powinno, żeby nie jako pies z kotem, nie jako wróg z wrogiem, ale w przyjacielstwie i kochaniu, pracując, Pana Boga chwając, żyć uczciwie, jak należy.

Tak, kochany Janie i kochana Kunegundo, nie brak jemu, nie brak i tobie. Ty jesteś chłop obsadny, ona też podufała w sobie, zdrowa i mocna; tedy czy we zgodzie, czy we sprzeczce, jedno

drugiemu krzywdy nie uczyni—i przez to właśnie wam przy jednym dyszlu chodzić będzie pasowało sprawiedliwie.

Wiór tak na słońcu nie schnie, jak moje gardło wyschło—łaknie ono trunku, jak święta ziemia dżdzu po spiekocie.

Dajcie mi tedy kwartę, abym to przemówienie moje zakończył głosem wielkim, iżby wam długo w uszach dzwoniło, a w głowach pozostało.

(Bierze flaszkę i pije).

Wielkim i mocnym głosem do was w tem zgromadzeniu przemawiam, abyście tego oto Jana, pana młodego, i tę oto Kunegundę, pannę młodą, zabawiwszy się i poweseliwszy, do domu odprowadzili; abyście, jako tu w godnem zgromadzeniu jesteśmy, życzyli i jemu, i jej, i im obojgu w kupie, i ojcom, i matkom, i siostron, i braciom i całej familii, żeby zawdy sobie w zdrowiu dobrem żyli i gospodarowali, żeby mieli przymnożenie i w koniach, i w dzieciach, i w każdym inszem bydłciu, i w gadzinie kwiczącej, i w konopiach, i we lnie, i w wełnie, i w pierzu i we wszelakiej ciepłości, i żeby czy kiele łąki, czy w życie, czy w owsie, czy, na to mówiąc, w grochu, mieli swoją przyjemność, patrząc, jako to rośnie, dojrzewa, idzie do stodoły, potem na targ

i potem do komory pieniędzami czystymi, za które jako potem znowuż przykupiwszy kawałek, będą w posiadłości swojej zaokrąglone, w gruncie swoim wzbogacone, w bydle rozmnożone, szczęśliwie żyjące, godnie umarłe i spokoju wiekuistego zażywające, teraz i zawsze i na wieki wieków, amen!!

Pani Pipermenth

na wodach w Ciechocinku.



Pani Pipermenth, otyła żydówka, lat 40, ubrana pretensjonalnie; z pod kapelusza widać perukę, w rękach parasolka i torebka.

Oj, oj, gorąco! niech moje wrogi mają taki smak! ja już stąd odjadę. Te wody, te kąpiele popsuły mi wszystkie nerwy!... Doktor Rajsenhering, od mojej ciotecznej siostry syn... wielki doktor! — on jeden poznał się na mojej słabości, on jeden powiedział: „Pani Pipermenth, pani masz nerwy!“ On się poznał. Ja naprawdę mam nerwy (żeby moje wrogi mieli dwa razy tyle!).

Pani pozwoli, ja sobie usiądę. Ja widzę, że pani jest także kupcowa... Jaki pani ma interes? Aha, handel win i korzeni—ja zaraz zmiarkowałam. Ja też mam handel win i korzeni i zajazd. Pierwszy hotel na cały Lubartów...

wszystkie panowie w nim stają, ale panowie są teraz gołe—same kapconim! Mój mąż jest bardzo uczony, on więcej siedzi w szkole, niż w sklepie... wszystko idzie na moją głowę, a ja? no — ja już całkiem zdrowie straciłam...

Od małości byłam bardzo delikatna, ale jeszcze temu dwa lata nie mogłam się we drzwi zmieścić—teraz, patrz pani, co się ze mnie zrobiło! Sama skóra i trochę kości.

Czy pani zna Lubartów? Nie zna pani? To szkoda — bardzo ładne miasto.

Właśnie ja chciałam pani powiedzieć, skąd się wzięła moja słabość. Ona się wzięła od tego nowego domu, co nawprost bóżnicy, nad samą kałużą, co go Joel Szpigelglas postawił, akurat koło mojego zajazdu. Zna pani Joela? To wielki gałgan jest, na moje sumienie. On tylko na moją zgubę patrzy.

Pani wiadomo, co każda kobieta ma feler (pani też ma, ja wiem)... ale jak Joel zaczął dom stawiać, to mnie zaraz piknęło tu, koło serca, i od tej pory we mnie zrobiły się nerwy... słyszała pani, nerwy! To ładna słabość jest!

Ja się ratowałam. Byłam u doktorów w Lubartowie, w Czernikach, w Łysobychach, w Kocku... Patrz pani, co ja tu mam recept! 32 ruble kosztowały lekarstwa. Jeden doktor kazał mi pić słodkie mleko, drugi kwaśne,

trzeci serwatkę. Ja to wszystko jadłam i dostałam jeszcze większą słabość w sercu.

Tymczasem Joel (niech on czarną ślepotę dostanie!) zaczął stawiać dach. Ja to już nie mogłam wytrzymać, pojechałam do Lublina. Tam znowuż mnie doktorzy oglądali... patrz pani, ile tu jest recept! to wszystkie z Lublina. Tam doktorzy jest! Jeden dał mi receptę i prócz tego puścił mi maszynkowych elektryczności do pleców, tak, że narobiłam gwałtu na całe Krakowskie-Przedmieście; drugi także dał receptę i chciał mi robić masaż. No, powiedz pani sama, jak to można porządnej żydówce i kupcowej robić masaż? Bogu dzięki, mam męża, mam dzieci, niedługo spodziewam się wnuczka. Czy ja jestem podobna do masaż? Powaryowali, na moje sumienie! Ale najgorszy był trzeci doktor. On mnie pukał, stukał, szczypał, dziobał mnie jak kura, potem zapisał medycynę, wziął rubla i powiada: „Pani Pipermenth, ja potrzebuję panią na 5 minut powiesić.“ To gałgan, rozbójnik! Ja krzyczałam: „Niech się pan sam powiesi, na całe trzy dni!“ trzasnęłam drzwiami i uciekłam. Niech jego dyabli wezmą. Niech on sam wisi, ten rozbójnik! On chce komu powiesić. Tfy! Przyjechałam do domu, do Lubartowa, nawet nie piłam herbaty, tylko położyłam się w łóżko. Byłam całkiem chora. Moja córeczka Brońcia,

(po naszymu ona się Brucha nazywa) pyta się: „Mame, co mamusię boli?“ Ja powiadam: „Bronciu, kochaneczko, mnie bardzo serce boli; zrób ty mnie szklaneczkę rumianek.“ Trochę mi się lepiej zrobiło po rumianku. Tymczasem przyszedł mój mąż od rabina. Pani nie zna mego męża, on wielki nabożnik jest! On najmniej dwa razy na tydzień pija u rabina herbatę! Bierze ode mnie dwa kawałki cukru i idzie na herbatę. Pani potrzebuje wiedzieć, że my jesteśmy z wielkiej familii, nas cały Lubartów zna. Małe dziecko powie, gdzie jest Pipermentha dom. Jak mój mąż przyszedł i zobaczył, że ja jestem taka chora, jak usłyszał, co doktorzy lubelskie chcą ze mną wyrabiać, tak powiedział: „Ty się, moja kochaneczko, nie martw, ja będę się radził samego rabina.“ On się radził. Rebe (niech on ma długie życie!) kazał mi jechać do Warszawy i pytać się specjalistów. Ładny los! ja do Warszawy, a tu Joel. Pyta się pani: co Joel? No, jakto co? kto może wiedzieć, co taki paskudnik myśli? Rebe powiedział, że warszawscy doktorzy każą mi pić moralne wody, każą jechać daleko, może nawet za granicę,—a co będzie w domu, co będzie ze sklepem? zajazdem? z tymi panami, co potrzebują pieniędzy pożyczać? Bo trzeba pani wiedzieć, że choć ja się tem nie trudnię i cała nasza familia ma obrzydliwość do lichwiarstwa,

ale jak mnie kto bardzo prosi, to lubię czasem wygodzić, nawet nie na hypotekę, na prosty weksel. Całkiem głupi zysk; jedno z drugim nic, ledwie pięć od sta na miesiąc. Pani kiwa z głową? Ja wiem, dlaczego pani kiwa... Pani sobie wzdycha i myśli, że marny nasz żydowski los! To prawda jest, na moje sumienie. Ja nie chciałam jechać do Warszawy, ani na ciepłe wody, ani na lekkie powietrze. Teraz ciężki czas, szkoda pieniędzy, a po drugie, kto wie, co myśli Joel (żeby jego złe powietrze spotkało!). Ja mówię do męża: „Nie pojedę, choćbyś ty mi dawał brylantowe kolczyki, nie pojedę.“ Ale mój mąż uczony, mądre książki zna, a taki zawsze ma co powiedzieć. On myślał trochę i powiedział tak: „Żebyś ty nie chciała jechać, że tobie pieniędzy szkoda, tobyś miała mniejszy już recht, bo zdrowie więcej warte niż pieniądze; żebyś ty nie chciała jechać dlatego, że się boisz sklep zostawić, tobyś miała także pół recht, bo sklep znaczy mniej niż zdrowie; ale że ty nie chcesz jechać, choć sam rebe kazał, to ty nie masz wcale recht, bo rebe więcej znaczy niż pieniądze i niż sklep. Ty jesteś nabożna żydówka, ty masz słuchać rebe.“ Ja przystałam; prosiłam tylko męża, żeby na wypadek, jakby ten cygan Joel (niech on nogę złamie!) co zrobił, żebym ja miała zaraz depeszę. Mąż obiecał. W wagonie

ja pytałam między żydówkami, jakie są w Warszawie specjaliści? Powiadają: „pan ten,“ „pan ów,“ „pan trzeci,“ „pan czwarty,“ „pan piąty,“ aj, cały kahał tych specjalistów! Ja ich sobie zapisałam. W Warszawie stanęłam w Berlińskim hotelu na Nalewkach. Pierwszy hotel na cały świat. Ubrałam się w jedwabną suknię, w kolczyki brylantowe, w perły—i poszłam do specjalistów. Jak żyję, nie widziałam takich dzikich doktorów. Pan „ten“ wziął szkło, patrzył mi w oczy, kiwał mi palcem, kazał mi czytać litery... Nareszcie mi powiedział, że mam całkiem ładne oczy. Taki kobietnik! Wielka nowość! Temu 10 lat, wszystkie najpierwsze panowie w Lubartowie to samo mnie mówili, choć nie są specjaliści; dziś też nie potrzebuję się pochwalić, pani sama widzi, że ja mam całkiem ładne dwa kawałki oko... Oj, oj, oj... żebym ja tylko chciała, no, no... ale jestem nabożna; ja nie pozwolę sobie zrobić żadne rzecz, co choć trochę nie pasuje... to pfe jest! Ja poszłam do pana „owego,“ dałam jemu kilka rubli, a on krzyczy... Czego pan doktor krzyczy? On się pyta, czy ja słyszę, i zaczyna rachować: raz, dwa, trzy, cztery... „No, co mnie pan doktor uczy rachunku? ja lepiej potrafię liczyć niż pan...“ Wziął maszynkę, wsadził mi jedną rurkę w ucho, drugą, za przeproszeniem pani, w nos, a sam trzyma

w ręku taki gutaperkowy interes, jak gruszka—całkiem osobliwa osobliwość. Potem kazał mi brać do gęby wodę i powiada: „Jak pani usłyszysz słowo „trzy,“ to łyknij.“ Krzyknął: „trzy!“ ja łyknęłam wodę, a on z tego gutaperkowego interesu puścił luft. Mnie zaszumiało w głowie; wiatr mi wleciał w nos, aj waj, i wyleciał, za przeproszeniem, przez ucho. Cała komedya! Pan „ów“ powiedział, że ja dobrze słyszę... Wielki interes! dowiedziałam się, że rubel ma 100 kop., a dzień 24 godziny. I to ma być specjalista! Ale myślę sobie: spróbuję jeszcze trzeciego. Poszłam do pana „trzeciego.“ Przyszłam i czekam; doczekałam się swojej kolei; wchodzę... a ten doktor, zamiast mnie zapytać, skąd przyjechałam i co mnie boli? pyta: ile mam dzieci? „Co panu do tego, ile ja mam dzieci! mam tyle, co Pan Bóg dał. Na złość panu będę miała jeszcze tyle, ile Pan Bóg da. Co panu do moich dzieci?!“ On się rozgniewał, on powiedział, co jemu potrzeba to wiedzieć. Wielka rzecz, że potrzeba—mnie też potrzeba na loteryi wygrać, a tymczasem nie wygrałam. On mnie pytał o taki interes, co nieładnie się pytać. „Na co panu wiedzieć? Czy pan doktor rabin jest?“ „No, to czego pani chcesz?“ „Chcę specjalisty...“ Krótko pani powiem, że on kazał mnie wypychać za drzwi; ale ja także mam swój honor, więc narobiłam gwałtu na całą

ulicę. To takie są specjaliści; niech ich bok zaboli! Wróciłam do hotelu i tam mnie poradzili, żeby zawołać jednego młodego doktora, od naszych. On przyszedł — bardzo mądry doktor, on mi przyświadczył, że ja mam nerwy i że przez tego gałgana Joela we mnie przewróciła się żółć. On powiedział, żebym ja jechała do Ciechocinka i żebym piła taką moralną wodę, co trochę kwaśna jest; on powiedział, że jak ja od kąpieli będę z wierzchu słona, a w środku od wody będę kwaśna, to moje nerwy całkiem zginą, a żółć przemieni się w karmelek.

Aj! moja pani, złote jego słowo! złoty kawałek żydka. Ja go bardzo prosiłam, żeby on przyjechał do Lubartowa, ja go z moją Brońcią ożenię. Od razu zrobiliśmy całą zgodę—ja mu obiecałam pięć tysięcy posag, mieszkanie nad sklepem i słowo od rabina, że mu zrobi większą praktykę, niż ma najpierwszy specjalista w Warszawie. Ja teraz przyjechałam do Ciechocinka. Aj, moja pani, na taką drożyznę, co ja tu utopiłam pieniędzy, co pieniędzy! Tu bardzo drogo jest! Całe szczęście, powiem to pani pod sekretem, kupiłam dwie skrzynki pruskie cygary i trochę szwarcowanych koronek, to mi się koszt kuracyi powróci. Na zdrowie było mi trochę lepiej; miałam jeszcze brać trzy kąpiele i pić trzy butelki wody, ale wyjeżdżam

dziś... Oj, moja kochana pani, dziś dostałam list od męża. Patrz pani: „Wielmożna pani Malwina Pipermenth w Ciechocinku.“ Ja pani przeczytam: „Kochana Malwinko, ty potrzebujesz wrócić zaraz do domu. Ten kochany Joel, żeby on śmierć zobaczył!...“ Nie, moja kochana pani (*placze*), ja już nie mogę dalej czytać, całe moje nerwy, cała moja słabość mnie się powraca; ten łajdak Joel zgubi mnie, całkiem mnie zgubi ten cygan, ten rozbójnik! żeby jemu robak w głowę wlaż! On potrzebuje zrobić sklep, on potrzebuje zrobić zajazd (żeby jemu zła słabość w serce zajechała!). Ja jadę — niech się co chce dzieje, ja jego zgubię, ja obniżę ceny w sklepie, ja będę sprzedawała nawpół darmo... ja na dziady wyprowadzę tego szelmę, on będzie szleper!... Pani mówi, że nie ładnie kłać... No, ja już nie klnę, po co ja mam kłać? Niech Joel przeklina (żeby on drewniany język dostał!). Ja będę w Berliński hotel, ja posłę po mojego doktorka, ja go z sobą wezmę, on będzie już mój zięć... Przyjeźdź pani do nas na trąbki, będzie wesele... Nasz rabin... Uważam, że się pani śmieje, jak ja mówię o rabinie—pani nie wierzy w rabina? pani niemiecka żydówka jest. Tymczasem, patrz pani, jaka jego mądrość! On kazał mi iść do specjalistów — przez to, że-ja do nich poszłam, ja się musiałam rozgniewać; przez to ja szukałam

młodego doktora od naszych; przez to, że szukałam doktora od naszych, to znalazłam męża dla Broni.

Widzi pani, że rabin wiedział, co robić... Gitla, żona Joela, jak się dowie, to jej z zazdrości żółć pęknie... Niech pęknie! niech ona też pojedzie do specjalistów, żeby jej obejrżeli oko i wpuścili powietrze do ucha (żeby ją zimny wiatr przedmuchał!)

(Odchodzi).

ULECZONY SAMOBÓJCA.



Przed niedawnym czasem, przed rokiem za-
ledwie, mówiłem do siebie tak: nic mi
do szczęścia nie brakuje... a jednak... Jestem
zdrow, mam majątek, powiadają, że jestem
przystojny, że ludzie mnie lubią... Ożeniłem się
nie dawno z kobietą piękną, miłą i bogatą, ko-
chamy się, mamy własny powóz, śliczny apar-
tament, znakomitego kucharza i teściowa przy
nas nie mieszka... Świat mi szczęścia zazdro-
ści... a jednak... Ja nie jestem szczęśliwy...

I to nie — jestem najnieszczęśliwszy pod
słońcem!

Otóż w tem właśnie była moja niedola, że
pod słońcem!

Co to jest? Czy bakterye idei materyalizmu
i nicości rozmnożyły się w moim mózgu i zmu-

szaly, ażebym wziął nóż do ręki? Nie wiem, ale doznawałem prawdziwych pokus...

Może byłem ofiarą epidemii?... Codzień ktoś kończy samobójstwem... dlaczegożbym ja?...

Raz powiedziałem do mej Anielci, gdyśmy się całowali przy oknie:

— A gdybym wyskoczył na bruk?!

— Umarłabym z żalu — odrzekła.

Po cóż ma umierać taka młoda, taka ładna kobieta?

.

Chciejcie posłuchać mojej historii.

Prababka moja pochodziła z Hiszpanii. W spadku po niej, między innymi, dostał mi się przepyszny sztylet toledański, arcydzieło prawdziwe archeologiczne; znawcy ofiarowywali mi za to cacko znaczną sumę, ale nie chciałem sprzedać. Pieniądzy nie potrzebuję, a sztylet zawsze może się przydać.

Żona moja mówi, że niema w gospodarstwie takiego mebla, któryby się na co nie przydał. Moja śliczna Anielcia! ona ma zawsze słuszność.

Gdy kraję kuropatwę przy obiedzie, mam ochotę poderznąć sobie gardło; gdy zatapiam widelec w białej piersi indyka, aż mnie coś korci, żebym własną pierś przebił. Gdy idę nad rzeką — nęci mnie ton wody. Gdy widzę

drzewo — powiesiłbym się z przyjemnością; w podróży chciałbym się rzucić pod pociąg, a widok rewolweru robi na mnie takie wrażenie, jak beczka wódki na pijaku.

Ale po co? na co? z jakiej racyi?

Gdybym się nie oparł tej dziwnej manii, moja śliczna Anielcia umarłaby z żalu.

.

Stało się!...

Śliczny sztylet toledański wsunąłem sobie pomiędzy czwarte a piąte żebro z lewej strony piersi, aż po samą cyzelowaną rękojeść. Wszedł w serce jak po mydle, prawie bez bólu... Zmarłem...

Nie wielka to sztuka, zaiste.

Umarłem. Ciało moje leży na aksamitnym szezłagu, martwiejące, sztywne, ale duch widzi wszystko doskonale...

Gwałt w domu; doktorzy, sąd, policya...

Anielcia płacze, ale jeszcze żyje... Nie zabiła się, ujrawszy mego trupa, i spaznuje tylko.

Młody doktor X., który już raz leczył ją na nerwy, powiada, że to przejdzie... zwłaszcza przy energicznej kuracyi.

Kiedy się już wszyscy rozeszli i zwłoki moje złożono w trumnę, przyjechała teściowa...

Weszła do pokoju, majestatyczna, szele-
szcząca jedwabiem...

Spojrzała na moje szczątki śmiertelne, prze-
żegnała się, westchnęła i rzekła:

— O Boże! przebacz temu idyocie...

Były to najżyczliwsze słowa, jakie w życiu
mojem z ust tej niewiasty słyszałem.

.....

Widzę, że ciało moje leży na stole sekcyj-
nym, a uczeni medycy, mający badać przyczynę
mej śmierci, śmieją się, palą cygara, oglądają
mój sztylet toledański po babce.

Wreszcie biorą się do rzeczy — oglądają
ranę między żebrami i ze zdumiewającą bystro-
ścią sądu przychodzą do wniosku, że była ona
zadana narzędziem ostrem. Następnie, wystu-
dyowawszy wewnątrz mej bylej osoby, piszą, że
przyczyną mej śmierci było uszkodzenie lewej
komory serca i wstrzymanie funkcji tego orga-
nu. Uczyniwszy to odkrycie, kazali mnie pię-
knie zaszyc, zacerować, ubrać w garnitur fra-
kowy i zalutować w metalowej trumnie.

Tak się też stało.

Duch mój widział to wszystko, asystował
pogrzebowi, towarzyszył Anieli, która okropnie
rozpaczała nad grobem.

W żałobie było jej prześlicznie. Doktor X.
ratował biedaczkę.

Teściowa miała oczy o tyle mokre, o ile wymagała przyzwoitość, i odchodząc od świeżej mojej mogiły, wyrzekła tę, bez zaprzeczenia mądrą sentencję:

— Ślicznie zrobił ten waryat, że się zadźgał dość wcześnie, póki córeczka moja jeszcze młoda...

.

Niewidzialna dłoń chwyta mnie i unosi w przestrzenie.

Znajduję się w światach jasnych, świetlanych. Dziwnie tam błogo... ale czuję nieopisaną trwozę... Wszakże jestem samobójcą, wydarłem sobie życie... co mnie za to czeka!

Zachodzi mi drogę jakiś poważny, ubogo ubrany staruszek.

— Czytam w twych myślach — rzecze, — biedny szaleńcze... ty się lękasz?

Kiwnąłem głową na znak potwierdzenia.

— Słusznie, mój chłopczko — odpowiedział dziaduś, — bardzo słusznie. Trzeba być idyotą, żeby odbierać sobie życie wogóle... Trzeba być kwadratem z idyoty, żeby się zabijać bez przyczyny. Ty, kochanie, wobec tych warunków życia, jakie miałeś, popełniłeś najgłupsze szaleństwo. Iluż ludzi dźwiga bez szemrania ciężkie brzemie życia... a ty... ty... Nie dziw się więc, że czeka cię kara bardzo ciężka...

Zadrzałem...

— Najcięższa! — powtórzył, marszcząc groźnie wielkie brwi siwe, krzaczaste — a ja zostałem wysłany na twoje spotkanie, ażeby ci wyrok ogłosił... Słuchaj i drżij... Niema dla ciebie miejsca tu, powrócisz na ziemię. Niewidzialny będziesz przy twojej żonie, przy teściowej, posłuchasz głosu opinii...

— No — pomyślałem sobie, — to jeszcze pół biedy. Spodziewałem się czegoś gorszego.

— Głupi jesteś! — odrzekł staruszek, który czytał w moich myślach; — nie masz dla głupca większej kary, jak dać mu tyle rozumu, żeby mógł ocenić głupotę swych postępów. Dość! Usłyszałeś wyrok, a teraz idź i cierp...

Zaszumiało mi coś nad głową, jakby skrzydła wielkiego ptaka, uczułem dojmujący chłód i znalazłem się napowrót na ziemi.

Niewidzialny, szedłem środkiem ulicy, wśród tramwajów i dorożek. Byłem co krok przejeżdżany i tratowany kopytami końskimi, ale mi to nie sprawiało najmniejszego bólu. Istota moja nie miała ciała, ani kości, ani określonych kształtów. Chcąc wejść gdziekolwiek, nie potrzebowałem otwierać drzwi, lecz dostawałem się, jak powietrze, przez szczelinę w oknie, przez dziurkę od klucza, przez niewidzialne porowate otworki w ścianach.

Błądziłem przez kilka godzin po ulicach, i ogarnęła mnie tęsknota i żal do ludzi razem. Jakto?! ja umarłem, a na świecie żadnej zmiany przez to niema? Ubytek mojej osoby nie zostawił najmniejszego śladu!

Podły świat!

Nie żałują mnie, zapomnieli o mnie zupełnie. Ludzie, jak przedtem, jedzą, piją, bawią się, uśmiechnięci, weseli... Niechże ich piekło pochłonie!

Łez, łez mi potrzeba! Dajcie mi łez! Po rublu za jedną płacić wam będę, kramarze!!

Pójdę do Anielci. Ona pewnie usycha z żalu, biedaczka!

.

Istotnie, siedzi sama w tym pokoju, który był niegdyś naszym sypialnym...

• Siedzi przed tualetą i posypuje śliczną buzię pudrem... widocznie płakała... Poczciwa!...

Wchodzi służąca.

— Proszę pani — mówi, — pan doktor X. przyszedł.

— Proś do sali — odpowiada aniołek.

Spojrzała raz jeszcze w lustro. Zrobiła na-przód minkę grobowo smutną, potem rozjaśniła twarz przyjemnym uśmiechem, a potem rzuciła spojrzenie tak zalotne, że aż mnie, ducha, mrowie przeszło.

Udałem się do sali i uczułem, że dziwny dreszcz przenika całą moją istotę.

Ach! czemuż nie mam rąk, rąk ludzkich, kościstych, muskularnych, żebym mógł zmiażdżyć tego doktora, który w tej chwili całuje białą rączkę mojej Anielci... Mojej?! Alboż duchy mają co swego?! Brr!

— Czy już pani lepiej? — zapytuje — czy wraca spokój? czy nerwy przychodzą do porządku po strasznem wstrząśnieniu?

— Dziękuję ci, doktorze — odpowiada Anielcia, — jeszcze mi nie zupełnie dobrze... ale...

— O! zapiszę pani kali bromatum — mówi i znowu wpija się ustami w jej rękę.

Zbójco! w jakiej farmakopei wyczytałeś, że dotknięcie twoich ust nazywa się „kali bromatum?“

Anielcia rączki nie cofa...

Zaczynają rozmowę, banalną rozmowę o pogodzie, teatrze, projektowanych zabawach na karnawał... wreszcie o żalobie i o mnie...

O mnie!

— Droga pani (już mu jest droga!) — powiada ten damski lekarz, — dziś możemy już mówić o tem spokojnie... (Już?! Dopiero tydzień, jak mnie pochowano!)

— Tak... — odzywa się Anielcia z westchnieniem.

— Więc, jeżeli mam być otwarty, to powiem, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło

— Oh... panie!

— Tak, tak, droga pani. (Znowu mu droga! Żeby z piekła nie wyrztał!) Nieboszczyk pani mąż już od kilku miesięcy cierpiał na nieuleczalną chorobę, na manię samobójczą.

— Dlaczego mi pan nie powiedziałeś tego od razu?

— Czyż mogłem przedstawić pani całą okropność położenia?! Na szczęście, samobójstwo jego uwolniło panią od nieszczęścia.

— O! doktorze!

— Żeby was milion kroć sto tysięcy! — ryknąłem, ale głos ducha nie wpadł do uszu wiarołomnej.

Pójdę do resursy.

.
W resursie zwykle towarzystwo... Zabierają się do gry... Mówią o mnie.

— Szkoda — powiada jeden, — wielka szkoda; zawsze przegrywał i płacił.

— Spodziewam się — odezwał się jeden z moich przyjaciół, — łatwo jest płacić z cudzego...

— Co pan mówisz?

— Powtarzam to, co mówi całe miasto...

— No? no? mówże pan!

— Wszystko, co powiadają o jego cierpieniach umysłowych, o rozstroju nerwowym, to farsa, wymyślona dla zamydlenia oczu ludziom.

— Niepodobna!

— Daję wam słowo honoru...

— Ach, łotrze! — pomyślałem — ty masz honor?! ty!

— Tak, tak — perorował dalej, — to wiadoma rzecz; mówiłem z lekarzami, którzy robili sekcję.

— I cóż?

— A powiedzieli, proszę was, że popełnił bardzo wielkie nadużycie.

— Jakie!?

— Podobno jakaś wdowa powierzyła mu jedyny swój fundusz, no i jak się nim zaopiekował, tak fundusz dyabli wzięli, a wdowa pozostała bez chleba. Łudził ją, mydlił jej oczy przez jakiś czas, ale nareszcie, gdy zagroziła procesem, z obawy skandalu...

— Zadzgał się... Brr! mógłby sobie przynajmniej w łeb strzelić, to już jakoś szlachetniej.

— Nie, panowie — odezwał się drugi jegomość (mój niegdyś serdeczny przyjaciel), — ja słyszałem co innego... Nieboszczyk miał romans z ciotką pewnego bankiera, z tego wywiązał się pojedynek amerykański... wyciągnął czarną gałkę i musiał umrzeć...

— Ho! ho! — rzekł trzeci (najlepszy mój niegdyś przyjaciel, pożyczałem mu pieniędzy na każde zawołanie); — widzę, że nie wiecie

nic. Słyszeliście o tej grubej kradzieży brylantów u jubilera *.*; nieboszczyk był w to zamieszany, a mając do wyboru hańbiące więzienie lub śmierć, wybrał tę ostatnią.

Ha! łotry! Czemu wam nie mogę plunąć w oczy!

— Nie, drodzy panowie — zawołał inny. — Wszystko to nieprawda. W tym wypadku, jak i w wielu innych, należy przedewszystkiem „chercher la femme.“

— Aha...

— Szanowna jego małżonka miała wcale nie dwuznaczny romansik...

Ach, dość tego! Nie mogłem słuchać, jak beczelnie szarpia po śmierci moją dobrą sławę i honor mojej Anielci... To nikczemne, oburzające, podłe!

Czemuż nie mogę zabić się powtórnie!

Uciekłem na cmentarz i tam w cichej kontemplacji, między nagrobkami, spędziłem pół roku.

Sprzykrzyło mi się to... i poszedłem znowu między ludzi.

.

W ogrodzie miejskim, na ławce, siedziała była moja teściowa, a obok niej druga, również okazała jejmość.

Może także teściowa jakiego nieszczęsnego samobójcy...

— Czy wie droga pani — mówiła moja (no tak, juści moja) teściowa, — jakie śliczne koronki kupiłam na wyprawę dla Anielci?

— Więc pani Anielca pocieszyła się i wychodzi za męża?

— Cóż ma robić drogi aniołek! Tamten waryat, bo chyba nie można go nazwać inaczej...

— A waryat, szalenię, proszę pani.

— Między nami powiedziawszy, nie był on dobrym mężem, a nawet... co tu w bawełnę owijać!... był złym mężem: maltretował moją jedynaczkę, za wiele czasu przepędzał poza domem, upijał się, miał kochankę...

— Hm! ja słyszałam... nie wiem tylko, czy mogę pani to wprost powiedzieć...

— O, pani! wszak po takim łotrze wszystkiego spodziewać się można...

— A więc powiem, że miał aż trzy przyjaciółki.

— Ach! niegodziwiec! Ma szczęście, że już nie żyje, gdyżby mu oczy wydrapała. Wie pani, że ja miałam przecucie... Od pierwszego spojrzenia, jak tylko zobaczyłam tego jegomościa, domyślałam się, co to za ziółko. Dobrze, że go piekło pochłonęło nareszcie...

Z grzecznością dobrze wychowanego cienia ukloniłem się szanownej teściowej i odszedłem.

Zobaczę, co robi Anielcia.

Ślicznie!

Siedzi uśmiechnięta na kozetce, obok niej kochany doktorek.

Są sami tylko, we dwoje... Gruchają jak para turkawek.

Ha!... teraz rozumiem, dlaczego Otello zadusił Desdemonę... Czemuż nie mam rąk!

— Anielciu, kochasz? — pyta ten wyperfumowany naprawiacz nerwów.

— Sto razy ci to mówiłam.

— Z całego serca?

— Gdybym miała sto serc, kochałabym cię wszystkimi.

— A jednak... A jednak...

— Co?

— Trudno w to uwierzyć.

— Jesteś niegodziwy!

— Gdybyś mnie kochała, pozwoliłabyś złożyć pocałunek na twoich różanych usteczkach.

— O!

— Przecież za cztery miesiące nazwę cię żoną.

— Czekaaj więc.

— Nigdy...

To mówiąc, objął ją w pól i zaczął całować, jakby ją pragnął pożreć pocałunkami. Tego było mi już zanadto... Ryknąłem z wściekłości jak dzikie zwierzę, a jednocześnie spostrzegłem, że leżę na podłodze w moim gabinecie.

Nade mną stoi wystraszona Anielcia...

Ach! więc żyję! Więc to był tylko sen!

— Co ci się śniło? — pyta Anielcia.

— Nic, nic, kochanie. Czy tu nie był doktor X.?

— Skądże? — wszyscyśmy zdrowi.

— I ty?

— Naturalnie.

— I mama?

— Przed chwilą wyjechała na spacer.

— Moja duszko, czy wiesz, gdzie jest mój sztylet toledański po babce?

— W komodzie; czy ci potrzebny?

— Daj mi go, bardzo proszę...

— Na co?

— Poszlę go w prezencie naszemu kochanemu doktorowi X., to taki mój serdeczny przyjaciel.

.

Od tygodnia posiadaczem sztyletu jest doktor X. Ja z Anielcią jadę do Zakopanego, teściowa nam nie towarzyszy, gdyż pije Karlsbad (oby jej poskutkowało!). O samobójstwie już nie myślę — jestem wyleczony radykalnie z tej niebezpiecznej manii.

K O N I E C .



Trzydzieści dwa nowe statki
nie jest zastępy

100.

Gdy

W tym czasie - to jest
wielki punkt w ekonomii
miałem, w tym czasie

15
111

H

5616